№ 28. Warszawa, dnia 2 (14) Lipca 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.– Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Z DZIEDZINY POEZYI.

Szkic literacki

E. ZORYANA.

(Dokończenie.)

Fragmenty pojęte są oryginalnie; sytuacye tragiczne, myśl przewodnia bogata, że starczyłoby jej na tragedyę pięcioaktową, a jednak wszystko to zamknięte jest w ciasne ramy urywku. Poetka podejmuje najpotężniejsze momenta z życia ludzi, którzy byli przedstawicielami jakichś wielkich idei: postacie tych bohaterów wzrastają w oczach naszych jak kolosy, a otoczenie dla braku miejsca karleje. Czy to autorka uczyniła z rozmysłu, nie wiemy. To wszakże pewne, że wielkie myśli nagromadzone w szczupłych ramach fragmentu, rozpierają je, psują artystyczną całość. Myśl do myśli przyciśnięta nie pozwala rozwinąć się indywidualizmowi osób działających, sprawia chwilami wrażenie filozoficzno-moralnego traktatu, dyalogowanego arcy pięknie. Są wszakże ustępy istotnie potężnie tragiczne.

Bohaterką pierwszego fragmentu jest aleksandryjska filozofka *Hypatya*.

Wysoka wiedza wsławiła ją szeroko, lecz zarazem ściągnęła liczne zawiści. Hypatya była poganką — lecz się nie kłaniała bałwochwalczo starym, martwym bogom. Jej bóstwem była mądrość, nauka. Zatopiona w wiedzy nie mogła być z przekonania poganką, lecz w miejscu zburzonej, nie postawiła nowej wiary. Z tego powodu, rzecz naturalna, musiała na się ściągnąć gniew biskupa Cyryla.

Wiedział on, że Hypatya szerzy swe nauki, lecz że nie była chrześcianką, uważał je za zgubne, wrogie kościołowi.

Myślą przewodnią Konopnickiej w tym fragmencie, była chęć przedstawienia walki wiedzy z ciemnotą. Przedstawicielką pierwszej jest Hypatya, w ciemności pogrążone tłumy, są na nieszczęście wyznawcami religii chrześciańskiej. To ściągnęło na autorkę liczne gromy, jakoby tendencyjnie chciała zespolić wiarę naszą z ciemnotą. Nie posądzamy jej o to. Nam się zdaje, że jej chodziło o sam fakt, że apostołowie wiedzy, nowych idei często padają ofiarą nierozumiejących ich tłumów. Że zaś te tłumy tym razem walczą pod znakiem krzyża, a pochodnię światła niesie poganka, nadało się doskonale do prawdziwie dramatycznego konfliktu.

Przedstawimy zresztą fragmenty Konopnickiej zupełnie przedmiotowo, sąd pozostawiając czytelnikom. Zastrzegamy wszakże z góry, że o ileby autorka przypisywanej jej tendencyi hołdowała, nie godzimy się na nią. W samem przedstawieniu faktów nie ma jeszcze nic złego: posługiwanie się niemi dla wyrażenia tendencyi wrogiej kościołowi byłoby niegodziwem. Zestawienie trzech faktów, w których nie kościół, lecz jego słudzy walczą z bohaterami nauki, nie daje jeszcze nikomu prawa do potępienia autorki, której „Przed Bogiem", jest czystą i wzniosłą spowiedzią, której „Ave!" modlitwą łzami przepełnionej duszy...

Wracamy do „Hypatyi".

Poetka umiała wybornie wpleść piękną postać bohaterki między dwa różne żywioły, działające wprawdzie dla jednego celu, lecz niemniej przeto stanowiące kontrast dramatyczny. Przedstawicielami tych żywiołów Amoniusz i Piotr.

Pierwszy, słysząc opowiadanie o Hypatyi, nienawidzi jej, jako wroga kościoła i jego hierarchii, a to co mówi nosi skończoną cechę religijnej żarliwości. Do takiego charakteru dobiera też autorka formę doskonałą, rzadkiej piękności.

Oto np. mówi Amoniusz do Piotra:

......To powiedz kolumnom,
Niechaj się ruszą białe i tu przyjdą...
Niechaj tu staną, jako blade płaczki,
I niechaj tłuką nad tym trupem w żalu
Kamienne głowy...

I następne słowa noszą też samą cechę. Wiara ogromem swym potęguje tę postać wątłą, blaskami olśniewa jej głowę. Słowa Amoniusza kipią prawie namiętnością, ale żar, którego to jest dziełem w wierze, religii ma swe źródło.

Wezwany do pomocy przez Piotra, ażeby zgnieść Hypatyą, chętnie przyrzeka mu służyć, ale tylko wówczas, gdy droga ich będzie prosta, jawna.

Przeciw poganom, tak! — lecz ja chcę jawnie
Iść, jako rycerz Chrystusowy, śmiało
W błękity nieba o dniu jasnym patrząc,
Rychło aniołów posiłki nadlecą.

Chcę iść, toporem zdruzgotać te mury —
I wywlec bladą tę — i chrzcić ją we krwi —
I na objatę złożyć Panu Bogu,
Za grzechy własne i całego miasta...

. . . .

Ja chcę chorągwi i hymnów i krzyża —
I słońca, coby wkładało na czoło
Złocistą gloryę... chcę tłumów — i Boga!

Świętością otacza poetka postać Amoniusza, a słowa, które wkłada w jego usta, gdy Piotr wlecze trupa, ażeby go podrzucić pod kolumny domu Hypatyi i w ten sposób uczynić ją odpowiedzialną za zbrodnię dokonaną niewiadomo przez kogo, pełne są demonicznej siły i grozy. Jakąś mocą niebiańską rośnie ten mnich z skwarnej pustyni, a Piotr przy nim jest tylko pospolitym zbrodniarzem, wstrętnym nad wyraz.

Nędzny! do rzeczy podłych tylko zdolny!

powiada mu Amoniusz, a słowa te są dostateczną charakterystyką. I czyż to wina religii, że ten zbrodniarz jest właśnie jednym ze sług biskupa? Z tego tytułu czynione Konopnickiej zarzuty są najzupełniej bezzasadne.

Tak więc, gdy Piotr staje na poziomie występku, Amoniusz jest prawdziwym rycerzem wiary.

Wtem, robi nam autorka prawdziwą niespodziankę — obmyślaną wszakże trafnie dla podniesienia i efektu artystycznego i tem silniejszego zarysowania potężnej religijności Amoniusza.

Przy końcu pierwszej sceny każe mu zawołać:

Walczyłem dotąd — i zawsze daremnie...
Czułem cię w piersiach, ty piękna... ty biała —
Co gdzieś istniałaś, daleko ode mnie,
Wabiąc rozkoszą miłości i ciała...

Więc ten mnich kochał!...

Rys to istotnie bardzo oryginalny, bo stawiający Amoniusza w wewnętrznej rozterce. Miłość, co go w samotne noce wśród pustyni trapiła, którą zwalczał pobożny asceta, nie ucichła, przeciwnie, dziś silniej się odzywa. Myśl i serce ukochały tę kobietę, a ona była poganką. Więc walka wielka a kończy się zwycięztwem czystej, nieskalanej wiary...

Dalsze dwie sceny usuwają Amoniusza na drugi plan, akcyą wywołuje i przyspiesza Piotr. Przy końcu wszakże fragmentu spotykamy znowu Amoniusza. Oto wiedzie on tłumy wzburzonego ludu, wołając: *śmierć poganom!* Jego zaparcie się miłości, która go niepokoiła, dech mu wstrzymywała w piersi — stawia go na wyżynie idei, której służy. Lecz w tej chwili cały dramat skupia się około Hypatyi.

Zaraz na wstępie nazywa ją lektor Piotr *silnym wodzem* tych, którzy hołdują wiedzy i rozumowi.

Dotychczas
Nie można było nic o tę gadzinę
Zahaczyć w ruchach miasta, ni dosięgnąć
Niczem białego i dumnego czoła...

Bo jak monolit stała w oczach tłumu,
Bez skaz i pęknięć — z jednej sztuki cała...
I dłoń się po tej obsuwała toni,
Jako po gładkiej tafli kryształowej.

Hypatya sama wychodzi na scenę dopiero w drugiej części fragmentu. Jest z razu tylko uosobieniem wiedzy głębokiej, czystej, bez fałszu, udania lub zarozumiałości. Przekonania swe wypowiada w rozmowie o formie i duchu, a są one tego rodzaju, że bezwarunkowo na nie pisać się można. W żadnem z jej słów nie przebija herezya lub wyznaniowa nienawiść, widzimy w niej tylko iskrę mądrości.

Lecz wnet sytucya się zmienia. Siepacze otaczają wszystkich niewolników Hypatyi, chcąc ich prowadzić na śmierć w odwet za śmierć Anafesta, jednego z milicyi biskupiej. Tak każe prawo, jemu trzeba być posłusznym. Niewolnicy są niewinni, rozpacz ich ogarnia. Posejna, jedna z niewolnic, widząc śmierć pewną chce zabić własne swe dziecko, aby po jej zgonie nie ginęło z głodu, gdy mu braknie piersi matczynej... Hypatya czuje obowiązek bronienia swych sług, tu słowa nie pomogą, trzeba czynów. Wyzwala więc wszystkich niewolników i tem ich ocala.

Tłum, jak każdy tłum wogóle, nie ma przekonań, lecz idzie ślepo za głosem przewodników. Nie mają dla Hypatyi współczucia, widzą w niej tylko pogankę. Piotr podżega masy i tak już rozfanatyzowane.

Amoniusz zapalony żarem religijnym własną ręką zabija Hypatyę pogankę...

Oto koniec dramatu.

Dwa inne fragmenta myślą są temu pokrewne. I w nich padają ofiarą ludzie wielcy, mędrcy, którzy życie całe poświęcają dla dobra milionów.

Vesalius, znakomity lekarz, który dla celów naukowych robi studya na ludzkich trupach. Musi się z tem ukrywać, bo go czeka wyrok śmierci.

Boże! ja nie chcę burzyć Twych ołtarzy...
Ja nie chcę wstrząsać świątynią Twej chwały...
Lecz czyż duch, który badać się odważy
Dzieła Twe, Panie, zwan będzie zbyt śmiałym?

Walczy z przesądem ten człowiek lecz nie z religią, przeciwnie, słowa jego są nacechowane głęboką wiarą i miłością Boga.

Ojcze wolnych, ludzkich duchów!
Do światła Twego przywołaj błądzące...
Niech imie Twoje wskroś przemian i ruchów
Całej przyrody świeci nam jak słońce!

Niech wolę Twoją, wieszczą nam nie gromy
Srogich zakazów, groźb i przerażenia, —
Lecz wszechświat cudów pełen, tron widomy,
Zkąd wnosisz berło wiecznego istnienia...

O! daj nam pokarm godny nas i Ciebie,
. . . .
Niech pękną starej ciemnoty okowy
I niechaj duchy ulecą do słońca!

Ta sama myśl znajduje się w Galileuszu, tylko, że kiedy Vesalius był anatomem, ten jest astronomem-filozofem. I tu są myśli głębokie, rzucane śmiało, lecz nigdy o herezyę nawet nie potrącają.

Jako dewizę tego i wszystkich fragmentów Konopnickiej możnaby wypisać słowa, które ona w usta Castellego wkłada:

Człowiek upada — lecz prawda jest wieczną.

Na tych uwagach o fragmentach poprzestaniemy. Szło nam tylko o wskazanie istotnej tendencyi autorki, wykazanie, że nic ona w sobie złego nie mieści.

Cóż więcej moglibyśmy dodać o autorce? Zajmuje ona dziś wybitne stanowisko w naszej literaturze, jako poetka jest jedyną z którą się liczyć trzeba — mamy tu zawsze tylko literaturę w jej najnowszym zwrocie na myśli. Żyją i tworzą jeszcze inne poetki, lecz te należą do minionej romantyzmu epoki. W nowym kierunku należy się bezsprzecznie prym Konopnickiej. Dostroiła ona swą lutnię do potrzeb społeczeństwa i ona jedna umie swą pieśnią wstrząsać słuchaczem do głębi.

Skala jej twórczości jest rozległa, od lekkich erotek, aż do poważnych, myślami brzemiennych fragmentów, od śpiewki na wiejską nutę, aż do przecudnych, jak w marmurze rzeźbionych strof, znajdujemy stopniowane szeregi, które zapełniają spore dwa tomy jej utworów. Wobec tekiego bogactwa treści i wytworności formy możemy zapomnieć o drobnych usterkach, od których Konopnicka nie jest wolną.

Do kukułki.

Oj, kukułko, ptasze wieszcze!
Próżno słowem proszę, pieszczę —
Jedno wróżysz mi,
Że lat jeszcze bardzo wiele,
Zaczem będzie me wesele,
A z niem szczęścia dni.

Nie wierzę ci kukułeczko,
Jak na niebie to słoneczko,
Gdyż wbrew wróżbie twej,
Już dwa razy do mej chaty,
Przysyłali młodzi swaty,
Prosząc ręki mej.

— O, dziewico! nasze losy,
Rozstrzygają nam niebiosy,
Rozstrzyga nam czas,
Tu się cieszym, tu się śmiejem
I, ani się nie spodziejem,
Jak omyli nas.

Na wojenkę poszedł młody,
Dziewczę rosi lic jagody,
A otarłszy łzy,
Do kukułki rzekła smutna,
— „Jak przepowiedź twa okrutna,
Na myśl — serce drży.”

J. W. Mandat.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Szkółka Maryni dość była rojną. Pomiędzy uczącym się drobiazgiem należącym do rodzin dość ubogich, ubrana skromnie ale z wielkim gustem i starannością wyglądała jak kwiatek wyrosły w pośród dzikiego zielska. Wprawdzie przy swej młodości pełnej życia i wesołości, prędzej do pustoty zdawała się skłonniejszą jak do togi pedagoga, jednakże o ile mogła powagą sztuczną przystrajała buzię zdobną urodą.

Chwalono ją powszechnie, podziwiano jej oczy świecące nieba błękitem, jej lica do róży podobne, nosek zgrabnie zbudowany, usta jakby stworzone do śmiechu i... całusa, ciemno blond włosy, figurkę śliczną, nazywano ją powszechnie urodziwą

dzieweczką, niebezpieczną dla oczów zbyt ciekawie jej się przypatrujących, jeden tylko Józio zdawał się tego nie spostrzegać. Lubił ją bardzo, rad z nią przebywał, z uśmiechem słuchał jej wesołego szczebiotania, czasem sam zażartował, rozweselił się nawet, rozmyślnie przekomarzał: Stanisław pilnie śledził ten stosunek dwojga młodych wychowanych z sobą prawie od dziecka, nic jednak nie mógł dopatrzéć takiego coby zdradzało głębsze uczucie.

Być może, że Józio wydobyty z poziomu w jakim wzrastał przez dziecinne lata, wychowany pod wpływem swego opiekuna, który w każdą uwagę, radę lub napomnienie, umiał wpleść odpowiednio do wieku swego wychowańca, myśl nacechowaną trzeźwością poglądu, na obowiązki i przeznaczenie człowieka, stał się wreszcie za poważnym dla Maryni a ona dla niego za zbyt powierzchowną, dość że stosunek ich wzajemny najmniejszej nie uległ zmianie. Józio litościwie uśmiechał się z trzpiotowastwa Maryni, a ona z jego przedwczesnej powagi, raz nawet gdy wpadł w zapał robienia uwag dotyczących jej zawodu nauczycielskiego, znudzona długim wywodem a troszkę poruszona satyrycznym przycinkiem, nazwała go nudnym pedantem i dała mu klapsa z minką zadąną, za którąby niejeden chętnie rączki jej ucałował. Józio jednak nie zrozumiał tego, uśmiechnął się tylko i powiedział, że kiedyś przyzna iż miał słuszność.

Według planu ułożonego, Józio po ukończeniu nauki, którą przebył z zupełnem zadowoleniem Stanisława, miał się poświęcić zawodowi kupieckiemu i dopełnić potrzebnych studyi za granicą. Wprawdzie gdy Marynia otworzyła szkółkę i idąc jej w pomoc, nauczycielstwo tak mu się spodobało, iż zapragnął oddać się pedagogice, ale porzucił ten zamiar nie chcąc się sprzeciwiać Stanisławowi i nie być posądzonym o lekkomyślność.

— A szkoda moja Maryniu — rzekł do niej — bo czuję że mam do tego wielkie usposobienie.

— Zapewne że szkoda — odrzekła dzieweczka z figlarnym uśmiechem — i ja bardzo żałuję bo gdybyś był moim pomocnikiem, toby w szkółce było tak cicho jak makiem zasiał.

— Zapewne, że byłoby cicho.

— A wiesz dlaczego? — zapytała stając przed nim z podpartą rączką w pasie.

— Wykład zajmujący zająłby całą ich uwagę.

— Nie, mój kochany, oto uśpiłbyś całą szkołę z nauczycielką, swojemi nudziarskiemi uwagami, które mi już ostatecznie dokuczyły.

Józio uśmiechnął się i po chwili dopiero rzekł:

— Oj! ty szczebiotko, szczebiotko!

— Oj! ty nudziarzu, nudziarzu!—dołożyła Marynia pokręcając główką i tłumiąc chętkę do śmiechu, która na obudwu policzkach oznaczyła dwa dołeczki figlarne, wdzięk naturalny całej buzi niezmiernie podnoszące.

Józio spojrzał na nią, nawet bacznie się przyjrzał, ale nie z zachwytem ócz młodych lgnących do wszystkiego co wabne i piękne, tylko z jakąś powagą głębszej rozwagi.

— Gdybyś była tak zastanawiającą się — odezwał się po chwili, zakładając nogę na nogę z widocznem zabraniem się do długiej rozprawy—otóż gdybyś była tak zastanawiającą się, jak jesteś wesolutką i często dowcipną...

— Padam do nóg szanownemu mentorowi — przerwała nagle Marynia dygając przed nim z komiczną powagą — ale wybaczysz pan dobrodziej, że słuchaczką jego nie będę, gdyż mam ważniejsze zajęcie, jak słuchania jego bredni arcy pozytywnych.

— Ho! ho! — odezwał się Józio najspokojniej nawet z uśmiechem — widzę że zaczynasz być filozofką, skoro termina naukowe wtrącasz do swoich przycinków zupełnie dla mnie obojętnych.

— Ah!—zawołała Marynia zrywając się z krzesełka i stając przed nim z rączkami w kieszeni schowanemi, zapytała: powiedz mi, ty przemądrzały rabinie, ty kwintesencyą uczonego nudziarstwa, czy w tobie nie ma ani odrobinki materyału na gniew, choćby jak na ćwierć paznokcia od mego małego palca, którym radabym ci pogrozić przy samym nosie, że cię niczem nie mogę rozgniewać i poruszyć do wybuchu?

— O! przeciwnie — odrzekł Józio — w kwestyach ważnych, gdy nie mogę znaleźć argumentów dość przekonywających, zapalam się, gniewam, nawet czasami wybucham, ale uważam to za wielki błąd, gdyż jak ojciec Stanisław powiada, nie jest się wtenczas samym sobą, rozum ucieka w kąt a na harc wyjeżdża namiętność.

— Więc to o czem z sobą rozprawiamy, gdy ty nudzisz a ja cię łaję, to nie są kwestye ważne?

— Owszem, są ważne, ale przyznasz moja Maryniu, że łajanie nie jest dowodzeniem, jakże więc mogę w rozmowie naszej unieść się aż do gniewu i wybuchu?

— Oh! unieś się choć raz jeden, mój Józiu kochany — zawołała Marynia — bo mnie wielce tem zabawisz i uradujesz przekonaniem, że nie jesteś bryłą lodu ale żywym człowiekiem, prawdziwym moim bratem, jak ja umiejącym się jątrzyć i w gniewie tupać nogą, gdy językiem nie umiem przegadać.

Przy tych słowach, z pod fałdów sukienki Maryni wychyliła się nóżka, mała, zgrabna i stuknęła o podłogę kilka razy. Józio nawet na nią nie spojrzał tylko ze śmiechem powstał i zacierając ręce, mówił:

— Wyborna jesteś! Zdaje ci się, że gniewać się można na rozkaz jak pannę zaprosić do tańca i puścić się z nią w pląsy.

— A dlaczegóżby nie? — zapytała się Marynia.

— Dlaczego? — odrzekł Józio z uśmiechem — toć rzecz zdaje mi się tak jasna, że nie potrzebuje objaśnienia.

— Otóż źle ci się zdaje — odrzekła Marynia— bo we wszystkich twoich dysputach teologicznych...

— Raczej filozoficznych, naukowych — przerwał z poprawką Józio.

— Nie, teologicznych — odrzekła Marynia — bo najczęściej dotyczą ducha naszego, lub ducha całej ludzkości. Otóż we wszystkich twoich dysputach teologicznych, tak, teologicznych, zawsze sobie z góry powiadam, że będę z gniewem cię łajać za zmuszanie mnie jak ptaka do bujania w jakichś niedościgłych sferach i gniewam się i łaję, nawet szydzę jedynie wolą moją a nie sercem ani głową.

— A i z jakiej przyczyny, zmuszasz się do takiej nienaturalności? — zapytał Józio.

— Bo mnie nudzisz, a nic dla mnie okropniejszego jak nudota.

— Będę odtąd uważniejszym—odparł Józio — nie zwróciłem na to uwagi, przepraszam cię moja Maryniu.

— Ah! to dobrze, to bardzo dobrze — zawołała Marynia. — Na podziękowanie, że zrobisz com tak pragnęła, masz moją rączkę, pocałuj ją jako zaszczyt, który cię ode mnie pierwszy raz spotyka.

I mówiąc to, przyłożyła rączkę bardzo kształtną i delikatną do ust Józia, a gdy ten ją ze śmiechem pocałował, poklepała go po obu policzkach i potem kłaniając się z całą etykietalnością i przesyłając mu od ust całuska, rzekła:

— Dziękuję ci braciszku, bardzo dziękuję, kocham cię teraz dwa razy lepiej jak wówczas kiedyś zmądrzał i był nudziarzem.

Marynia jednak nie była tak mało rozwiniętą i usposobioną naukowo, aby nie mogła poważnie rozmowy prowadzić, ale jako młodziutka jeszcze, po całodniowej pracy naukowej a później w szkółce z dziećmi, w domu pragnęła odpoczynku a w towarzystwie Józia szukała rozrywki wolnej od wszelkiego przymusu, bo innych zupełnie nie znała. Józio znów nie był zarozumialcem, Stanisław pilnował aby nie wpadł w ten błąd wstrętny i szkodliwy zarazem a że nauczył się i umiał wiele, wdrożony wychowaniem do poważnego na wszystko zapatrywania się, łaknął także odpowiedniej gawędy, i tej szukał w towarzystwie Maryni. Pragnienie jego nie zostało zaspokojone: w Maryni było jeszcze za wiele młodości, w Józiu za wiele powagi: ona żywość swą naturalną ujęła tylko w pęta przyzwoitości dobrze wychowanej panienki i myślom pozwalała fruwać jak młodym ptaszkom cieszącym się, że mają już do lotu skrzydełka, on żywość swoją pod wpływem praktycznego Stanisława, starał się okiełznać i bujać myślą nie w świecie ptasim ale ludzkim, jego przeznaczeń i obowiązków. I ona i on nic na tem nie stracili. Ona cieszyła się swoją młodością, on rozwojem pojęć uszlachetnionych nauką: ona nie przewidywała niebezpieczeństw jeszcze uśpionych w jej sercu, on już zbroił się zawczasu przeciw ich pociskom. I oboje byli szczęśliwi, ona niewinnością swej duszy, on jej hartem wyrobionym odpowiedniem wychowaniem.

Nadeszła wreszcie chwila wyjazdu Józia za granicę.

W przeddzień oznaczonego terminu, wraz z przybranym swym ojcem Stanisławem, cały wieczór przepędził u matki Maryni.

Smutne to były gody pożegnalne. Stanisław kochał Józia jak rodzonego syna podwójną miłością, pamięcią na los matki jego nieszczęśliwej, której obraz zachował na zawsze w pamięci, i przywiązaniem opiekuna mogącego się pochlubić swoim wychowańcem.

Przypominał sobie chwilę tak strasznego ze Stasią rozstania, które zupełnie nieprzewidziane skazało go na przebycie tylu męk, boleści i tęsknoty, jakich żadne już inne cierpienie nie przewyższa. Przypomniał sobie ostatnią z nią rozmowę w pośród grzęd kwiatowych, ów bukiecik niezapominajek ofiarowany mu z taką serdeczną naiwnością młodego dziewczęcia, swoją z tego radość i uszczęśliwienie i nadzieje rozbudzone w jego sercu.

Później przemknęły mu się w myśli przygotowane testamentowe zapiski Stasi, jej wyznania i prośba o opiekę nad dzieciną...

— Spełniłem ją — pomyślał z westchnieniem.

Myśli Józia nie były także weselsze. Przypomniał sobie swoje sieroctwo, wioskę rodzinną, pobyt w cegielni, okrutne z nim obejście się ekonoma, przybycie do Warszawy, zamieszkanie u szewca Skowrońskiego, pierwszą swą nauczycielkę i różne figle i wybryki płatane z Grzesiem. Jakże to wszystko zmieniło się, jak był ciemnym i nieświadomym, on taki biedak, opuszczony, zaniedbany,

dziś ubogacony nauką wyjeżdża za granicę o czem wprzódy nawet nie marzył.

Czując komu to winien, przejęty wdzięcznością, w chwili kiedy Marynia szczebiotała pragnąc milczących swoich gości cokolwiek rozruszać, zwrócił się ku Stanisławowi i całując jego rękę wyrzekł z czułością:

— Ah! ojcze kochany, jakże cię kocham i szanuję. Czyż za dobrodziejstwa jakiemi mnie obdarzyłeś i darzysz, zdołam ci się kiedy odwdzięczyć?

Stanisław domyślił się całego procesu jego myśli, nie zadziwił się też, tylko przytulił Józia do piersi, zatrzymał w długim uścisku i całując w czoło, wyrzekł z uczuciem:

— Poczciwy chłopcze, staniesz się kiedyś dobrym obywatelem kraju.

— O tak ojcze! — zawołał Józio — takim jak ty, oddanym w całości dla jego uszczęśliwienia. Jesteś mi wzorem ja tylko będę twoim naśladowcą.

I przez chwilę zapanowało milczenie, nawet Maryni zakręciły się łzy w oczkach i po chwili dopiero rzekła:

— Bardzo dobrze, stań się mój braciszku naśladowcą naszego kochanego ojca, bo i ona za przykładem Józia, przywykła Stanisława tak nazywać, tylko zostaw za granicą ten zawiły potok słów, którym darzona przez ciebie już od roku prawie, sama nie wiem czyś młody jeszcze czyś się już podstarzał. Wyglądasz przy nich jak cytryna wyschnięta i pomarszczona od długiego leżenia. A ja tego nie lubię, bardzo nie lubię.

Żartobliwa ta uwaga mimowoli ożywiła wszystkich, rozmowa przybrała weselszą barwę, Marynia rozszczebiotała się, przedstawiła przyczyny nieporozumień z Józiem, przytoczyła ostatnią dysputę jaką z nim przeprowadziła i tak wpłynęła zbawiennie na całe towarzystwo, że gawędka na chwilę nie ustając późno się w noc przeciągnęła. Nawet Stanisław czasem zażartował, Józio dowcipkował a Marynia równym dowcipem odpowiadała.

Na drugi dzień, gdy Stanisław z Józiem przybyli na dworzec kolei wiedeńskiej, zastali już Marynię z matką czekającą na ich przybycie.

Służący zajął się zaraz kupnem biletu i oddaniem rzeczy, oni zaś zostali w przedsionku.

Wtem nadjechała kareta z wygalonowaną liberyą, zaprzężona w dwa piękne bieguny strojnie i okaźnie ubrane. Wysiadł z niej już niemłody jegomość lat około pięćdziesiąt mieć mogący, za nim młodzieniec, ojciec widocznie z synem, i wziąwszy się pod ręce, rozmawiając we francuzkim języku, przeszli przez sień i weszli do sali klasy pierwszej. Nie zwrócono na nich uwagi, ale panicz w przechodzie dostrzegł Marynię wprost niego stojącą i rozmawiającą z wielkiem zajęciem z Józiem, trącił ojca a ten natychmiast zwolnił kroku, przyłożył binokle i przypatrzywszy się dzieweczce, szepnął do syna:

— Rzeczywiście, nieszpetny buziaczek, zapewne para kochanków gruchających przed rozstaniem.

— Chętniebym został jej pocieszycielem — odrzekł młodzieniec.

— Oj! ty trzpiocie i wierutny bałamucie...

— Toć nie trucizna.

— No, no, tylko z rozwagą pamiętaj! z rozwagą.

Zabrzęczał dzwonek, rozwarto podwoje dla publiczności, Józio zajął miejsce, jeszcze się potoczyła chwilowo przerwana rozmowa, przyrzeczono sobie częste pisanie, ozwał się sygnał, wrzasnęła piszczałka, podano sobie ręce, przesłano pocałunki, pociąg ruszył, a gdy wchodząc w szybszy bieg zaczął się oddalać, Stanisław wykręcał kapeluszem do wyglądającego przez okno Józia a Marynia powiewała chustką.

Przy wyjściu, w drzwiach samych, młody ów nieznajomy panicz stał już na straży i gdy zobaczył Marynię nie spuścił jej z oczów. Nikt z jej towarzyszy nie zwrócił na to uwagi, ale lokaj widział to dobrze.

— Oho! znowu rozpocznie się nowe polowanie— pomyślał sobie i stojąc wyprostowany wpatrzył się w pana swego jak w tęczę.

— Marcin! — zawołał młody człowiek na lokaja, wskazując oczami Marynię, gdy ta z matką i Stanisławem już go minęli.

— Dobrze jaśnie panie! — odrzekł Marcin. *O pomieszkaniu jej nie trudno było się dowiedzieć.* Sługus zanotował sobie: pani Czemecka, sklep z norymbergczyzną, ulica i numer, a potem korzystając z pozyskanej swobody, przebrał się w suknie podarowane mu przez pana, wziął zegarek z okaźnym łańcuchem, kapelusz świeżo odprasowany, rękawiczki jasne, laseczkę hebanową z rączką z kości słoniowej i z miną pana na stu wsiach, poszedł do kawiarni najwięcej wówczas uczęszczanej.

Należała ona do znajomego nam, Klemensa Bardzkiego, któremu wszystko dopisało i małżeństwo z Justysią i powodzenie przedsiębierstwa. Sama pani Klemensowa ową dawna trzpiotka i figlarka, w miarę przybywających lat i tuszy, pomału poważniejąc, nabrała ruchów właściwych przewodniczce zakładu, w którym wiele służby słuchać musi jednej pani. Siedząc za bufetem czytała jakąś książkę, ale mimo tego nic nie uchodziło jej uwagi, oko jej i ucho zawsze czuwały aby nic z porządku ułożonego nie wychodziło.

Gdy Marcin w kapeluszu na bakier a laseczką przy ustach, wszedł do kawiarni, dziewczęta do usługi gościom przeznaczone, powitały go z wyrzutem, że już tak dawno go nie widziały, a gospodyni ze skinieniem głowy jako dobrego znajomego.

— Moje panienki kochane — odezwał się Marcin — nie byłem w Warszawie, na wsi polowałem, hulałem, bawiłem się i zakochałem po uszy...

— A to dopiero z pana Marcina bałamut — zawołały chórem, o nas zupełnie zapomniał.

— Broń Boże! tak miłych osóbek nie zapomina się nigdy — odrzekł zasiadając za stołem i zdejmując rękawiczki, które z niedbałością pańską wrzucił do kapelusza. Warszawa moje panny jest co innego, serce zaś posiadam tak ruchliwe, że na chwilę ścierpiéć nie może próżniactwa. W Warszawie kocham a na wsi tylko romansuję.

Wtem drzwiami od pomieszkania samych gospodarzy wszedł Klemens z dziewczynką czteroletnią na ręku, obok niego postępowała druga, może siedmioletnia a o dwa lata starsza trzymała się poły surduta ojca. Były to wszystko dzieweczki z buziakami nieszpetnemi, z włosami zaplecionemi w dwa warkocze, z kwiatkami i w sukienkach jak na bal przygotowanych.

— Paterku kochany — odezwał się Marcinek, tak zawsze nazywający Klemensa — jakże ci pięknie w tem gronku aniołków!

Klemens postawił na nóżki najmłodszą trzymaną na ręku, a dziewczynki koleją starszeństwa robiąc dygi przystępowały do matki i całując w rękę mówiły:

— Bonjour ma chere maman!

Pani Justyna każdą z dziewczynek pocałowała w czoło, a potem przyjrzała się jem uważnie, obciągnęła sukienki, poprawiła wstążeczki, kwiatki, włosy ugładziła i powiedziała żeby wróciły do mieszkania na śniadanie.

Klemens powitał Marcina.

— Paterku kochany śliczne masz dziatki—odezwał się gość.

— Może i śliczne, ale i ślicznie kosztują — odrzekł Klemens z westchnieniem. — Dwóch chłopaków chodzi jeszcze do szkoły, a najstarsza Zosia skończyła pensyą i uczy się teraz w domu od nauczycielki przychodniej, rodowitej paryżanki, języka francuzkiego, muzyki i manier wielkoświatowych. Ah! co to kosztuje, co kosztuje, to aż w głowie trzeszczy i przewraca się!

— No, no, to paterku prawdziwie po pańsku edukujecie swoje dziatki.

— To tak rozporządza moja Justysia, jabym wolał...

— Zbierać grajbery i kupić milionową kamienicę — domówił Marcin.

— Ej! — mruknął Klemens, oglądając się na żonę. — Przy takich wydatkach dyabła tam co się zbierze, wszystko wychodzi co do grosza i dobrze, że się koniec z końcem zwiąże.

— A cóż to paterku, nie jesteście panem w domu?

— No, jużcić jestem — odrzekł Klemens troszkę jąkając się — ale widzisz moja Justysia to bardzo rozumna i zawsze przekonałem się, że ma słuszność we wszystkiem co postanowi. Zaraz po pobraniu chciałem wszystko wziąć w swoje ręce, ale mi powiedziała głaszcząc po twarzy, a śliczna wtenczas była jak prawdziwa syrena...

— Znać to jeszcze dzisiaj...

— I dziś jeszcze jest bardzo ładna, ale co było wtedy, to tylko klękaj i całuj stopki. Otóż powiedziała mi: Klimciu kochany, ty się na całym procederze kawiarnianym nie znasz, zostaw mnie go a sam pilnuj własnych interesów, to zobaczysz, że się dorobimy majątku. Czy nie miała racyi?

— Zapewne, młyn co na dwa ganki miele, zawsze więcej przysporzy jak z jednym gankiem.

— I ja tak osądziłem — odrzekł Klemens — zostawiłem więc jej kawiarnię a sam jak dreptałem tak drepczę około swoich interesów i mam z tego figę.

— A pani Justyna?

— Także figę, wszystko zjada tak wyszukana edukacya, fatałaszki, różne stroje i głupstwa w które mieszkanie przyozdabia.

— Hm! dwie figi — mruknął Mateusz — to pokarm niepożywny — i spojrzał na Klemensa.

Wiedział bowiem, że kawiarnia dobrze procentuje, że pomimo narzekań Klemensa pani Justyna grosz ciuła i ma pewien kapitał w listach zastawnych. Robi zaś to tak zręcznie i sprytnie, że małżonek nic się nie domyśla jej operacyi finansowych i pewny jest, że zasobów żadnych nie posiadają. Codzień chowa tylko parę rubelków z wpływów pieniężnych i to od pierwszego zaraz dnia otworzenia kawiarni. Klemens różnych podejść używał, aby dojść rzeczywistej cyfry dochodu, ale próżne usiłowania.

Kasy zawsze się dotknął, gdy owych parę rubelków już w niej brakowało. Uwierzywszy wreszcie że oszczędności są niepodobne, dał za wygranę i żonę przy kasie pozostawił, zwłaszcza że ta dla lepszego utwierdzenia się przy zdobytej władzy, od czasu do czasu narzekała na brak funduszu na zapłacenie komornego, kupna cukru, kawy, herba-

ty lub drzewa i dawała dość jasno do zrozumienia, że pomocy w tym kłopocie ma prawo od niego wymagać. W takich razach Klemens udawał, że nie ma ani uszów, ani oczów i z tydzień przynajmniej o nic się nie zapytał co tylko dotyczyło zakładu. Właśnie tego pragnęła Justyna i sprytem wzięła przewagę nad mężem.

Kiedy Marcin nazwał dwie figi pokarmem bardzo niepożywnym, Klemens odrzekł:

— Ja jej to samo mówiłem, ale powiedziała mi: nic się o to nie kłopocz. Chłopcy jak skończą szkoły, a to nie tak wiele kosztuje, każdy pójdzie szukać chleba: dziewczęta zaś kiedy jem Bóg nie poskąpił urody, to nią muszą sobie zdobyć stanowisko, ale trzeba wychowaniem i edukacyą podnieść ją tak, aby i bogacz jeźli się zdarzy, nie powstydził się swoim wyborem. Tyś mnie Klimciu, mówiła szelmutka wdzięcząc się i przymilając, pokochałeś i ożeniłeś się jedynie dla mojej urody, a czy ci źle z tem? Czy nie jestem żoną wierną i poczciwą?

Zaprzeczyć temu nie mogłem, uległem więc i wszystko robi się według jej woli. Dziewczynki stroi jak laleczki, bo to powiada przyzwyczaja do pięknych ruchów i zgrabności, każe uczyć jak pańskie dzieci, mówić po francuzku, kłaniać się jak hrabiankom, tańczyć jak baletniczkom i biegać tak ostrożnie, jakby były ze szkła i stłuc się mogły.

— Najstarszej paterka córki Zosi, już dawno nie widziałem. Zanosiła się na ładną panienkę.

— Ba, ba, ba! — odrzekł Klemens. — Cud urody! Moja Justysia była ładną, ale Zosa dwa razy od niej piękniejsza. Co to za oko, co za buzia a postawa prawdziwie królewska. Jak spojrzy to zdaje się, że cię przebije oczami. Chodź, pokażę ci ją, ale ostrożnie przed żonką, bo ją pilnuje jak oka w głowie. Ma ją wkrótce wprowadzić w świat i każe uczyć konnej jazdy, dla zdrowia. Nowy to koszt ale to już jej w tem głowa nie moja.

Klemens pod pozorem pokazania świeżo kupionego obrazu, wprowadził Marcina do pomieszkania. Było ono z malutkich złożone pokoików, nie było w nich żadnych szczególnych przyborów, dopiero przeznaczony na bawialnię ślnił się przepychem ozdób złoconych i mahoniu. Przy fortepianie siedziała Zosia zajęta śpiewem. Wchodzący zatrzymali się w progu a Marcin przez szparę drzwi mógł się dobrze przyjrzéć nadobnej śpiewaczce.

Rzeczywiście była ładną, bardzo ładną. Płeć miała delikatną, białą, oczy czarne błyszczące życiem, włosy krucze, nosek zgrabny, niewielki, cokolwiek jak u matki zadarty, rzęsy długie, brwi ślicznie wygięte i buzię purpurą zarumienioną. Rączki jej białe i delikatne przebiegały wprawnie po fortepianie a nuconą pieśń śpiewała dźwięcznym głosem z wybornem cieniowaniem i odpowiedniemi modulacyami.

Patrząc na nią doświadczało się dziwnego wrażenia, jak kiedy stojąc na samej krawędzi przepaści, człowiek zachwyca się pięknością rozpostartego przed nim widoku, a truchleje czując otchłań tuż pod sobą. Była to istna czarodziejka, sfinks tajemniczy w postaci niewieściej, ze skrzydłami anioła a urokiem rusałki wiodącej bez ratunku w zatracenie.

Marcin patrzał, słuchał zachwycony.

— A co? — zapytał Klemens.

— Karmelek! — odrzekł Marcin. — Powiadam ci paterku, że karmelek godny ust choćby największego pana. Gdyby nasz Zbigniew ją poznał straciłby głowę odrazu.

— Wierzę, bardzo wierzę, a żebyś wiedział co to za rozumek w tej ślicznej główce to proszę siadać. Jak ci weźmie rozprawiać po francuzku, to jej języczek tak lata w buzi jak gardziołek u ptaszka kiedy śpiewa.

Ponieważ Klemens spieszył na miasto za interesami, Marcin sam wrócił do kawiarni.

— Anim przypuszczał — myślał sobie — aby w takiej niepozornej kniei, taka się znajdowała zwierzynka. Nasz Zbinio jeżeli na widok jej do reszty nie zgłupieje, to widać przeznaczonem mu będzie zmądrzyć na starość. Muszę trochę pogawędzić z gosposią, bo choć paterek ma się za głowę domu, ale pani Justyna jak widzę jest szyją która nią kręci, jak się jej podoba. Z tej tak ponętnej rybki jak śliczna Zosieczka, trzeba koniecznie coś zrobić. Na złote wędki biorą i grube ryby... pani Justyna sprytna... ale na wszystko jest sposób.

(*D. c. n.*)

OSTATNI Z RODU.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

Skreślił

Władysław Kor. Zieliński

(Dalszy ciąg.)

Na czele niechętnych wielkiemu hetmanowi, pragnących go pozbawić na czas bezkrólewia buławy, stanął Stanisław hrabia z Górki wojewoda poznański możny pan i dziedzic Szczebrzeszyna, który mimo, że zeszpecony garbem, jednak był człowiekiem wielkiego umysłu i zręczny w jednaniu sobie przychylności gminu, a to nietylko uprzejmością w obejściu, lecz nadto i rozrzutną hojnością i gościnnością niewysłowioną, która dom jego zamieniła w przybytek publicznych biesiad, szkołę gędźby i pląsów. Ostatni był on z rodu Górków, a chociaż pod owe czasy wielu było w koronie i Litwie bogatych panów, to jednak żaden z nich zamożności Stanisława woj. poznańskiego wyrównać nie mógł. Z tem wszystkiem, całe to ogromne mienie, z ostatnim jego dziedzicem, tak jakby w ziszczeniu przekleństwa protoplasty rodu Uriela, który pod złorzeczeniem 108 psalmu Dawidowego zaklinał potomków, aby nigdy wiary katolickiej nie odstępywali — rozprószyło się nie pozostawiając po sobie i śladu. Ten to więc Stanisław Górka jako najbliższy sąsiad książąt Słuckich, umyślił dla wzmożenia stronnictwa swego, zaskarbić sobie ich przychylność i przez to zapewnić poparcie swoich ambitnych celów. Dawno już bowiem, jeszcze za życia Stefana Batorego, Górka marzył o zajęciu wybitniejszego stanowiska w kraju, dawno już zaślepiony w swej nadmiernej pysze, uważał się za najgodniejszego do piastowania najwyższych godności ba nawet berła i korony. Wyniesienie się więc Jana Zamojskiego po nad poziom ogółu, władza jaką posiadał będąc kanclerzem i hetmanem w. koron. a nadto i energia z jaką spełniał swe obowiązki nietylko, że drażniły Stanisława Górkę lecz nadto rozbudzały w nim zawiść i gorącą chęć upokorzenia tego, który nie będąc tak możnym jak on wyższe od niego zajmował stanowiska i nie bacząc na żadne związki i koligacye poważył się Samuela Zborowskiego oddać w ręce kata. Do stoczenia więc walki upokorzyć mającej hetmana, teraz ze śmiercią króla, nadarzała się najstosowniejsza pora, bo jak dotąd uczynić tego nie można było. Wiedzieli bowiem wszyscy a więc i Stanisław, że Stefan Batory nie będąc *malowanym królem* jak to nieraz sam o sobie mawiał, lecz wysoce sprawiedliwym i umiejącym dzierżyć powierzoną mu władzę, każde wykroczenie przeciw bezpieczeństwu publicznemu, surowo byłby ukarał, tak jak tego dał dowody oddając pod topór oprawcy Grzegorza Ościka z Kawarska w Wilnie, kasztelana Wizskiego w Wiźnie i wielu innych.

Licznie już w Lublinie na sejmik zgromadzoną szlachtę, z chwilą rozbiegłej wieści o śmierci króla, pomnożyło przybycie Stanisława Górki otoczonego tłumem adherentów i rot zbrojnych. W dni parę później nadciągnął także i Jędrzej Zborowski marszałek koronny, z bratem swoim Janem kasztelanem Gnieźnieńskim, Stanisławem z Łańcuta Stadnickim zwanym powszechnie dyabłem, Spytkiem Jordanem i Stanisławem Ciołkiem Żelechowskim.

Wojewoda Lubelski Jan Tarło, w pałacu swoim położonym za miastem na Czechowie, gościnnie podejmując przybyłych, między którymi znajdowali się także Piotr Jędrzej Czarny kasztelan Lubelski mający swój dworzec na Korcach, Marek Sobieski z Pilaszkowic chorąży nadworny, Jan Janina Stoiński sędzia Grodzki Lubelski, Prawdota Dzierżek z Dzierzkowic stolnik i sędzia ziemski Lubelski, oraz wielu innych ze stanu rycerskiego, wyczekiwał jeszcze przybycia książąt Słuckich, aby zgromadzonym w sali trybunału odczytać uniwersał prymasa, donoszący o śmierci króla jegomości i wzywający na przedwstępne narady celem obmyślenia środków bezpieczeństwa, jakoteż na sejmiki poprzedzić mające sejm konwokacyjny.

Nadciągnęli nakoniec obaj bracia Słuccy otoczeni licznym, iście książęcym dworem i na czas pobytu w Lublinie, zamieszkali w pałacu Radziwiłłowskim, wznoszącym się przy tak zwanym litewskim placu na Krakowskiem przedmieściu, gdzie na niewielkim kopczyku stał dziwnie piękny pomnik wzniesiony przez Zygmunta Augusta na pamiątkę Unii zawartej na sejmie lubelskim roku 1569. Pomnik ten, na wysokim granitowym podmurowaniu, zaopatrzonym w stosowne napisy, przedstawiał w naturalnej wielkości dwie postacie królowej Jadwigi i Władysława Jagiełły, które podając sobie ręce, wspierały się na tarczach z herbami korony i Litwy. Pomnik ten umieszczony był naprzeciw pałacu okolonego cienistym ogrodem, w miejscu gdzie zaprzysiężenia w kościele św. Stanisława, akt tejże przez obozującą tu szlachtę litewską był podpisany. Tuż obok pomnika prowadziła droga, wijąca się między licznemi dworkami i ogrodami od Warszawy ku bramom miasta. Pałac Radziwiłłowski w którym zamieszkali książęta Słuccy, otoczony murami i basztami, miał pozór warownego zameczku, brak tylko było rowów napełnionych wodą i mostów zwodzonych.

Pierwsze przedwstępne sejmikowe narady rozpocząć się miały dopiero za dni parę, dlatego też teraz korzystając z wolnej chwili, tworzące się stronnictwa usiłowały pozyskać sobie adherentów. O Słuckich dobijali się wszyscy i na ich pokojach widzieć było można Zborowczyków, Zamojszczy-

ków, Batorowszczyków i tych, którzy głośno za Maksymilianem austryackim przemawiali. Słuccy nienależąc dotąd do żadnego stronnictwa, miłując przedewszystkiem dobro ojczyzny, postanowili dopiero w ostatniej chwili stanąć po tej stronie, która da największą gwarancyę do utrwalenia szczęścia całej ojczyźnie.

W dni parę po nowym roku, Jan Tarło woj. Lubelski, po solennem nabożeństwie odbytem w kościele OO. Dominikanów, w wielkim refektarzu klasztornym zagaił pierwsze posiedzenie, wzywając braci szlachtę do obmyślenia środków zaradczych celem obrony granic przeciw możliwemu najściu sąsiadów korzystających z bezkrólewia. Narady były dosyć burzliwe, lecz ostatecznie uchwalono żądane środki zaradcze, co gdy już dopełnione zostało i wojewoda odczytał uniwersał prymasa zwołujący senat na dzień 1 lutego do Warszawy Stanisław Górka wystąpił z wnioskiem, aby nim się wszyscy rozjadą, zamanifestowali się z żądaniem by na czas bezkrólewia Jan Zamojski złożony był z urzędu wielkiego hetmana i kanclerza koronnego. Wniosek ten bardzo wymownie poparli Jędrzej Zborowski, Spyłek Jordan, Stanisław Żelechowski i inni należący do stronnictwa Górki. Dzięki jednak taktowi i porywającej wymowie Marka Sobieskiego chorążego nadwornego, wystąpienie Górki przebrzmiało bezskutecznie i nie pociągnęło za sobą innych. następstw jak tylko te, że Górka ze stronnikami swoimi zaprzysiągł, iż sejm konwokacyjny zerwie a do obioru króla niedopuści, dopokąd jego żądaniu nie stanie się zadosyć.

Z tem samem żądaniem na sejmiku Lwowskim, odbywającym się w lutym tak jak i w innych województwach, wystąpił Mikołaj Jazłowiecki starosta Śniatyński, a na sejmie konwokacyjnym w izbie poselskiej Stanisław Czarnkowski. Pomimo tego jednak cel zamierzony przez Górkę i Zborowskich nie był osiągnięty wywołując tylko wielkie kłótnie i nieskończone waśnie.

Na komnatach książąt Słuckich było gwarno, właśnie zamknięte zostały narady odbywające się u OO. Dominikanów i szlachta bliżej Lublina mieszkająca zaczynała do domów rozjeżdżać się, pozostawali tylko ci, którzy daleko mieli swe siedziby, jak niemniej i możni panowie, którzy w czasie przedzielającym odbywali narady do sejmików mieli zamiar przeprowadzić swe zamysły i pozyskać sobie liczne i silne stronnictwa. Górka i Jędrzej Zborowski wraz z licznem gronem swoich adherentów, zamieszkawszy: pierwszy w obszernej kamienicy Kiołbusińskiego mieszczanina Lubelskiego, wznoszącej się przy rogu ulicy Rybnej i Grodzkiej (*) a drugi w kamienicy sławetnego rajcy Lubelskiego Mikołaja Doyzwona (**) zbudowanej naprzeciw wielkiego Ratusza, wyprawiając huczne uczty i lusztyki, przygotowywali pole do walki jaką z Zamojskim i jego stronnikami stoczyć mieli.

Mieszczanie Lubelscy, nie mieszający się do spraw publicznych i stojąc na uboczu ubolewali tylko nad stratą jaką kraj poniósł przez śmierć tak dzielnego monarchy, a zajęci zwykłą pracą mało zwracali uwagi na burzliwe narady, panów szlachty. Stary tylko Stanisław Lichański ekonom St. Ducha, Sebastyan Klonowicz rajca Lubelski, Jan Lubomelski rajca Lubelski i Jakób Żędzian jeden z najzamożniejszych mieszczan Lubelskich jako ludzie światli, wysoce ukształceni i stojący niemal na czele społeczności Lubelskiej, bywając u Marka Sobieskiego, wojewody Tarły i starosty Czarnego stali po stronie Zamojskiego. Nie dziw więc teraz, że wśród licznego grona butnej szlachty, widzimy ich i teraz, na komnatach książąt Słuckich.

Książę Jan Siemion ze szczególnem upodobaniem lgnął do poważnego wiekiem i rozumem Stanisława Lichońskiego i do słynnego już pod ón czas poety Sebastyana Klonowicza, który trzeźwo zapatrując się na sprawy bieżące, wszczynające się rozterki bardzo surowo sądził.

Stanisław Lichański idąc w ślady Mikołaja Żurawskiego herbu Trzaska pisarza miejskiego i Jana Lubomelskiego herbu Zadora, przyjął mieszczaństwo lubelskie, i gdy przedtem, jako szlachcic rodowity szczycący się Nałęczem, staczał niejednokrotnie krwawe boje z pohańcami, teraz jako były wychowaniec akademii krakowskiej, najwięcej z pomiędzy innych zaznawał miru u księcia Jana, którym z niezwykłem odznaczeniem zawsze go u siebie witał i w wielu razach doświadczonej jego rady zasięgał. Niemniej cenił książę Jan Siemion i zdrowe rady i poglądy Jakóba Żędziana, który aczkolwiek nie zajmował żadnego wybitniejszego stanowiska w społeczeństwie, to jednak był także uczniem akademii krakowskiej i możnym a wysoce zacnym i prawym obywatelem kraju.

Dawno już Żędzian, pragnął ugościć u siebie księcia Jana Siemiona, tembardziej, że niejednokrotnie z Lichańskim i Klonowiczem na zamku Kraśnickim był honestissime podejmowany, otóż teraz korzystając z okoliczności dłuższego pobytu książąt w Lublinie, i z tego, że zapusty się rozpoczęły, przedstawił księciu Janowi Siemionowi prośbę, aby chciał dom jego nawiedzić i podzielić się z nim kawałkiem chleba, który z całą submisyą i atencyą pragnął mu ofiarować. Książę Jan, który niejednokrotnie bywał już w gościnie tak u Lichańskiego jako też i u Klonowicza, uprzejmej a szczerej prośbie Żędziana nie mógł odmówić i z chęcią zgodził się na nią przyrzekając, że w dniu oznaczonym na ucztę przybędzie.

(D. c. n.)

(*) Dziś kamienica ta oznaczoną jest N-rem policyjnym 80.

(**) Dziś kamienica ta oznaczoną jest N-rem policyjnym 7.

POGADANKA.

Reklama przyjęta dziś na świecie tak powszechnie, że się jej nawet nie dziwimy choć często śmiech tylko obudzi. A jednak są wypadki w których nie możemy jej pominąć milczeniem, bo wywołuje wprost oburzenie. Wyzyskuje ona ludzką łatwowierność i często przypomina rzeczy arcy smutne. Choć więc nie o reklamie wprost, to o rzeczach przez nią dotkniętych musimy pomówić.

Przed kilkoma dniami zaczęto rozsypywać tysiące ogłoszeń nowego *talizmanu piękności*. Rzecz napisana napuszyście, że aż parskać trzeba ze śmiechu na dźwięk tych pustych frazesów.

Oto co tam czytamy:

„Nasze panie słyną ze swych wdzięków jak świat szeroki. Dzieje Budrysów pod rozmaitemi postaciami powtarzają się po dziś dzień. I wrogowie i przyjaciele nasi oddają cześć pięknym Laszkom, a pomiędzy niemi palmę pierwszeństwa uroczym Warszawiankom.

„Cóż kiedy niedawno, niby dyssonans w pięknym mazurku Szopena, niby pęknięta struna skrzypiec wśród melodyjnych tonów kujawiaka Łady, rozległ się w prasie zagranicznej głos doświadczonego turysty (aż wstyd powtórzyć te słowa), że w żadnem z miast Europy nie ma tyle kobiet malowanych co w Warszawie. Czyliż to prawda? Niestety tak! Przed parą tygodniami ozwała się w „Kuryerze Warszawskim”, jedna z bardzo niewielu niemalowanych córek Syreniego grodu, na ten sam temat powstając, byle tylko nie z powodzeniem wołającego na puszczy, przeciwko malowankom...” i t. d.

Przytoczyliśmy dosłownie ten ustęp, gdyż omawia on kwestyę bardzo ważną. Reklama taka jest niezmiernie poczytną, rozrzucają ją w setkach tysięcy egzemplarzy, wciskają wszędzie, aby tylko zarobić. Dla wynalazcy czy fabrykanta to rzecz interesu — dla nas przedstawia się ona inaczej.

Idzie tu o ten fatalny zarzut... malowania się kobiet jakoby u nas najbardziej upowszechnionego. Dar to szczodrobliwej życzliwości naszych kochanych sąsiadów, tak już doświadczonej i tak bezwzględnie praktykowanej.

Nie zwrócono uwagi, że kosmetyki nie u nas powstały i nie u nas są wyrabiane, że wszelkie środki sztucznego upiększenia tak dalece nie mają u nas prawa obywatelstwa, że nawet na nazwę ich musieliśmy się zapożyczyć i zamianować kosmetykami.

Że w jakiejś części dochodzą do nas i że są używane, to nie dowód aby opinia ogółu kobiet naszych szwank na tem ponosiła. Targ na kosmetyki główny to za granicą, do nas przychodzą tylko w małych szczątkach, tam na nie wydają miliony, fabrykanci miliony zarabiają, u nas wszystko na setkach się kończy.

I któż to na nie się składa? Czy to prawdziwe Polki i obywatelki, co są naszą chlubą co kraszą lica swoje powagą myśli z serca wyrosłej?

Odpowiedźcie za mnie. Ja nie bronię, tylko napaść odpieram jako czujący krzywdę siostrom mojem wyrządzoną, jako przechowujący w pamięci słowa Magnuszewskiego: modlić się i cierpieć to naszej białogłowy życie.

Zresztą jeżeli gdzie, to u nas kwestya kobiet, ich stanowiska społecznego i pracy przedstawia się bardzo dobrze. Coraz bardziej garną się do nauki, zdobywają częstokroć nawet wysoką wiedzę, a pracują pożytecznie w coraz liczniejszych gałęziach. Właśnie skończył się czas popisów i egzaminów w zakładach naukowych. Rezultaty są wogóle bardzo zadawalniające, a co najważniejsza, to, że z każdym dniem okazuje się większa potrzeba nauk.

Z drugiej strony nigdzie może nie jest zakładanie szkół połączone z większemi trudnościami... Więc i to trzeba brać w rachubę, oceniając stosunki nasze. Najmłodsza ze szkół jest „Zakład rękodzielniczy dla kobiet” w Lublinie, otworzony 1 lipca przez panią Buchaczewską. Wykładać w nim będą teoretycznie i praktycznie: krawieczyznę damską, krój i szycie bielizny, stroje damskie, naukę robienia kwiatów, kroju i szycia rękawiczek, szewctwa i introligatorstwa.

Pora tylko otworzenia zakładu nie dobrze dobrana. Upały lipcowe męczą odbierają chęć siedzenia w zamkniętym pokoju, a cóż dopiero uczenia się. Jest to czas feryi, do których tak bardzo tęsknią młodzi, bo po całorocznej pracy potrzebują wypoczynku, swobody i wytchnienia. Kto

może ucieka na wieś, ferye są czasem, w którym ucząca się młodzież, może się szczerzej oddać uczuciom rodzimem. I rodzice w tej porze więcej zajmują się dzieckiem, uznając, że za trudy i pracę naukową należy się mu miły odpoczynek.

A cóż może się mierzyć z miłością rodzicielską?

Jedna z najlepszych znawczyń młodocianego wieku, doskonała nauczycielka i znana autorka, Felicya Boberska, w jednem ze swych dzieł takie wypowiada zdanie:

„Miłość i pieszczota rozwijają uczucie, łagodzą usposobienie, czynią je swobodnem i harmonijnem, co wielkiem jest dobrem w dalszem życiu. Kto nigdy nie czuł się bardzo kochanym, czyje serce nie było zadowolone w dzieciństwie ten często kroć wnosi w życie uczucie niespokojne, rozdrażnione, pozbawione miary, łatwo idące w ostateczność. U dziewcząt zwłasza zdarza się to nieuchronnie, przy rozdrażnionem zaś uczuciu trudno o spokój, bez którego nie ma siły charakteru.”

Niedostatki i bóle społeczne wymagają pracy niemałej, a wiele z nich nie da się rychło usunąć. Owoce pracy naszej ujrzą może dopiero następcy nasi.

Również nie wolno nam nigdy zapomnieć, że ciągły postęp świata jest prawem nieubłaganem. Dobra jest rzecz i godziwa, szanować przeszłość, lecz przyszłością gardzić nie wolno. Ocenić ją zaś, będziemy tylko wtedy mogli, gdy równo z postępem będziem kroczyli naprzód. Najsilniejszym czynnikiem w tym kierunku jest bezwątpienia wychowanie. Głównem jego celem winien być postęp, a dla pamięci o jego konieczności moglibyśmy nie raz powtarzać słowa Asnyka:

Daremne żale — próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia.

Świat wam nie odda idąc wstecz
Zniknionych mar szeregu —
Niezdoła ogień, ani miecz,
Powstrzymać myśli w biegu.

Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe
A nie w uwiędłych laurów liść,
Z uporem stroić głowę!

Wy nie cofniecie życia fal!
Nic skargi nie pomogą —
Bezsilne gniewy, próżny żal,
Świat pójdzie swoją drogą.

Od poezyi do muzyki krok jeden, a o muzykę potrąciwszy o czemże mówić, jeśli nie o szeregu tryumfalnych występów Reszkówny. Podobnego entuzyazmu, z jakim u nas przyjmowano znakomitą artystkę warszawiankę, dawno nie pamiętamy.

Podczas każdego występu sala była przepełniona, na pożegnalnem brakło niemal powietrza do oddechu. Był to wieczór w którym trzeba było złożyć dzięki za już, rozstać się na czas dłuższy i prosić o jeszcze. Było za co dziękować i o co prosić. Reszkówna to niepospolita śpiewaczka i jeszcze niepospolitsza kobieta. Artyzmem swym zachwycała melomanów — czynami zjednała serca wszystkich. Nie ma instytucyi, którejby artystka nie obdarzyła.

Czyż więc dziwić się można, że Warszawa za to sypała dary Reszkównie, jak nigdy nikomu? Bukiety i upominki zajęły całą niemal scenę, od oklasków drżały mury, czuć w nich było jak z serc płyną. W pośród deszczu liści różanych stała artystka nie wiedząc jak za tę serdeczność dziękować.

Nie żegnano jej, lecz wołano: *do widzenia!*

Kwiaty i róże! Czyż może być co piękniejszego? Prawdziwe to ozdoby życia naszego, a pora obecna daje nam ich pod dostatkiem. Obliczono przeciętnie, że Warszawa wydaje dziennie *dwa tysiące rubli* na same kwiaty. Z rachuby tej wynika, że zużywamy dziennie 30 do 40 tysięcy kwiatów. Cyfra to pozornie wielka, lecz w stosunku do masy kwiatów jakich potrzebują inne miasta wydaję się wcale niepokaźną. Wszakże Paryż płaci dziennie *milion franków* za kwiaty.

Czy nie możnaby zawołać z Kalkasem z „Pięknej Heleny”: za wiele kwiatów, za wiele...

Ale to Paryż, który nadaje ton światu całemu, osobliwie w sprawach mód. To siedziba sławnego arcymistrza damskiej toalety, Wortha, któremu, kiedyś kobiety wystawią pomnik. Mistrz ten używa sławy europejskiej, ba nawet zaatlantyckiej, a chociaż rezyduje w Paryżu, rządzi zupełnie absolutnie i od jego zdania czy wyroku nie ma apelacyi.

U nas Wortha nie ma, a jednak żyjemy i mamy nie zaściankową sławę szyku i elegancyi. Nasze kobiety zdobyły sobie na tem polu rozgłos europejski, francuzi chętnie to Warszawie przyznają.

Co dla nas w tej chwili bezwątpienia ważniejsze to, że z dniem niemal każdym przybywa nam fabryk, dostarczających wyrobów krajowych na miejsce drogich zagranicznych. Do wielu takich pracowni przybędzie wkrótce fabryka wachlarzy, na wzór podobnych zakładów w Wenecyi i Berlinie. Osobliwie weneckie wachlarze mają sławę oryginalności i lekkości.

Przybytek ten będzie istotnie bardzo pożądany. Nasi kupcy sprowadzają rocznie co najmniej tysiąc sztuk wachlarzy, które następnie bardzo drogo sprzedają. Fabryka krajowa dostarczy ich znacznie taniej, a pewno nie będą gorsze.

Przyznać trzeba, że pomysłów nam nie brak, do wykonania ich znajdujemy zawsze wielu gorliwych i wytrwałych.

Do najoryginalniejszych pomysłów należą nasze... pojedynki. Oto już drugi fakt notują pisma, dołączając pochwały dla pojedynkujących się i sekundantów.

Panowie P. i K. poważniwszy się, zapragnęli rozlewu krwi. Już stali naprzeciwko siebie, pistolety były nabite, gdy sekundanci zaczęli nakłaniać rywali do zgody. Udało się. Lecz nie dość na tem; przeciwnicy podpisali zobowiązanie, iż każdy z nich zapłaci po... *trzy tysiące rubli* na cele dobroczynne!

Oby wiele takich pojedynków...

Es. Zet.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Według stanowczego postanowienia Rady miejskiej i odnośnych komitetów, uroczysty obchód dwóchsetletniej rocznicy zwycięztwa pod Wiedniem, obchodzony będzie we Lwowie 11 i 12 września r. b. Uroczystość rozpocznie się nabożeństwem żałobnem w archikatedrze za spokój duszy króla Jana III i poległych pod Wiedniem 1683 r. Po nabożeństwie pochód do kamienicy niegdyś Sobieskiego (dziś ks. Ponińskiego) na której umieszczona zostanie pamiątkowa marmurowa tablica, z odpowiednim napisem, przyczem przemawiać będą prezydent miasta, marszałek krajowy i prezes komitetu jubileuszowego. O 4-ej po południu odczyt historyczny prof. Tatomira „O dziejowem znaczeniu odsieczy wiedeńskiej”. Wieczorem uczta. Nazajutrz o 10-ej nabożeństwo dziękczynne i „Te Deum laudamus”, obchody uroczyste we wszystkich zakładach naukowych i pochód wszystkich korporacyi miejskich na rynek, dla złożenia wieńców pamiątkowych przed osłoniętą poprzedniego dnia tablicą. Po południu takiż pochód na Wysoki zamek, z którego roztacza się widok na plac boju na którym zwycięzki oręż Sobieskiego odparł najazd Tatarów. Na tym cyplu góry zamkowej, umieszczony będzie olbrzymi odłam rodzimej skały, z napisem uwieczniającym datę odniesionego zwycięztwa. Wieczorem uczta dla ludu, illuminacya miasta i przedstawienie galowe w teatrze. Oprócz tego postanowiono wznieść pomnik obrońcy chrześciaństwa, dla utrwalenia tej świetnej epoki z naszej przeszłości.

Zasługuje na uwagu i uznanie artykuł wiedeńskiej *Tribüne* zbijający na podstawie akt urzędowych historyczne fałszerstwa innych dzienników wiedeńskich i piętnujący nieuczciwe postąpienie Rady miejskiej miasta Wiednia. Wykazawszy, że Rada ta nie składa się z Wiedeńczyków ale „z przybłędów całego świata”. *Tribüne* tak kończy swój artykuł: „Przytoczyliśmy fakta zasiągnięte ze źródeł urzędowych, które powinny przekonać Wiedeńczyków jak w ich imieniu urągają nawet prawdzie historycznej i obrażają naród którego przodkowi bez zaprzeczenia zawdzięczamy głównie, że Wiedeń nie stał się tureckim baszalikiem i że setki tysięcy ludu nie poszły w jasyr bisurmański. Obrażono śmiertelnie naród polski jak obrażano i obraża się codziennie Węgrów, Czechów i biednych Słoweńców, którzy nigdy nie uczynili nic złego Wiedniowi, za to jedynie że odważają się zostać panami w swoim własnym domu. I wszystko to czyni się niby w interesie Wiedeńczyków — a dokąd to doprowadzi?...”

*** Towarzystwo przemysłowe polskie we Wrocławiu, obchodziło 11 z. m. 15 rocznicę swego istnienia. Po nabożeństwie i kazaniu polskiem w kościele św. Krzyża, ks. Bystry poświęcił chorągiew przyozdobioną złotym i srebrnym haftem, z napisem z jednej strony: „Bóg z nami!” a z drugiej: „Zgoda i praca, naród wzbogaca”. Wieczorem odbyło się widowisko amatorskie poprzedzone prologiem hr. Engelström'a, pełnym gorącego uczucia. Po widowisku ukazały się żywe obrazy z albumu Grottgera „Branka” oświecone ogniami bengalskiemi. Zakończył zabawę mazur odtańczony w ubiorach krakowskich.

*** P. Milan Grlović, poeta chorwacki, wydał utwór poetyczny p. n. *Mrtwa Guban* (Miłość umarła), której epilog stanowią cztery wzniosłe sonety pod ogólnym tytułem: *Excelsior!* Mała ta książeczka wydana w Zagrzebiu, jest istnem cackiem typograficznem. Sam poemat miłości odznacza się prawdziwem natchnieniem i uczuciem; treścią przypomina Słowackiego *W Szwajcaryi* a formą *Widziadła* Leonarda Sowińskiego. Milan Grlović przygotowuje do druku obszerny sło-

wnik biograficzny uczonych i patryotów słowackich, którzy odznaczyli się w kraju lub za jego granicami, od r. 1834 do naszych czasów. Będzie to dzieło jubileuszowe w celu uczczenia 50 rocznicy odrodzenia Chorwacyi. Rocznica ta uroczyście obchodzoną będzie przez wszystkie stowarzyszenia i narodowe instytucye Trójjedynego królestwa.

⁂ Znany badacz Afryki południowej, dr. Hołub, przedsięwziął nową wyprawę mającą trwać cztery do pięciu lat. Zgromadziwszy wszelkie potrzebne przedmioty i zapasy, uda się z Hamburga do Capetown (Capstadt) w kraju Przylądka Dobrej Nadziei, gdzie podczas pierwszej wyprawy dobrze został przyjęty. Tam zamierza urządzić wystawę wszelkich przedmiotów, nawet wozów i sił pociągowych, w jakie się zaopatrzył na drogę; wystawa trwać ma dwa tygodnie w ciągu których odbędzie wycieczki naukowe z botanikiem Balus i entomologiem R. Trimen, wzdłuż wybrzeża wschodniego. Następnie z częścią ekwipażu, puści się przez Clan William do kraiku Namaqua, dla przywiezienia okazów tamtejszych pokładów miedzi dla muzeów europejskich, a ztąd zwróci się przez łańcuch wzgórz, w kierunku wschodnim do kraju Buszmenów, dalej zaś przez Beaufort, Sommerset, do Port-Elisabeth, największego handlowego miasta w Afryce południowej. Tu także urządzi wystawę. Z tego miasta uda się do kraju Beczuana, a mianowicie przez Pola Dyamentowe do Zambezi a następnie do środkowej Afryki. W ciągu swej wyprawy zamierza robić głównie studya pateontologiczne oraz zbadać gruntownie państwa Marutse i jeziora Bangweolo oraz bieg rzeki Kongo. Koszt wyprawy wynosi 70,000 złr. W Austryi zebrał połowę tej summy, cesarz Franciszek-Józef dał 7,000 złr. ze swej prywatnej szkatuły, brakujące 35,000 złr. ma zapewnione w Anglii. Przed opuszczeniem Wiednia dr. Hołub otrzymał list od pewnego szewca, któren pisze, iż będąc tylko ubogim rzemieślnikiem nie może poprzeć wyprawy zasiłkiem pieniężnym, że jednak umie cenić ludzi odważnych i uczonych poświęcających się dla nauki, prosi więc aby mu pozwolił ofiarować sobie parę par butów lekkich i wygodnych, które przecież będą tak mocne, iż nie prędko popękają stąpającemu po afrykańskich puszczach. Hołub przyjął z wdzięcznością szlachetną ofiarę ubogiego rzemieślnika.

⁂ Jakkolwiek nowy ratusz paryzki już w r. z. był inaugurowany z okoliczności uroczystości narodowej 11 lipca, jednakowoż nie prędko będzie on zupełnie skończony. Naczelny budowniczy, p. Ballu zachował w głównych zarysach fasadę Bocadora, lecz wewnątrz całe urządzenie będzie zupełnie inne. Znawcy podziwiają wspaniałe schody w stylu odrodzenia, umieszczone w środkowym dziedzińcu; wszystkie najdrobniejsze nawet szczegóły wykonywane są jak najstaranniej i kosztuje miliony. Jest aż 43 oddzielnych schodów i 12 przyrządów do gaszenia pożarów. W żadnym królewskim pałacu nie ma tak wspaniałych sal balowych i przyjęć, ozdabianiem ich zajmują się, malarze, rzeźbiarze, sztukatorowie, mozaiści i złotnicy. Sale te jakoteż biura rady municypalnej i jej sale posiedzeń, tak wiele zajęły miejsca, że zbrakło jej dla biór administracyi departamentu Sekwany i Paryża, a gród tak olbrzymi którego budżet wynosi 300 milionów fr. a ludność przewyższa liczbę mieszkańców nietylko wielu księstw niemieckich ale nawet całych królestw jak np. Dania, Grecya i t. p. niemałych na nie potrzebuje obszarów. To też administracya Paryża zmuszona była zakupić graniczące z ratuszem wielkie koszary wojskowe, dla urządzenia w nich swoich biur, które zaledwie pomieścić zdołano.

Drugim nader godnym zwiedzenia gmachem, jest budujący się nowy centralny pałac pocztowy, wysoki na trzy piętra, cały z żelaza, ze szklanemi dachami, bez murów poprzecznych. Dopiero gdy klatka ta wykończona będzie, wyłożona zostanie na zewnątrz murem i motywami dekoracyjnemi. Na każdem piętrze znajduje się trzy olbrzymie galerye, równoległe jedne od drugich, szerokości 17 metrów, ciągnące się od jednego do drugiego końca gmachu. Na dole mieścić się będą pojazdy rozwożące listy i listonoszów, oraz sale publiczne, na piętrach biura dla urzędników klasyfikujących listy. Korespondencye będą bez przerwy windowane na górę za pomocę maszyny zostającej w nieustannym ruchu; opuszczając się na dół maszyna ta zabierać będzie worki pełne, gotowe do roznoszenia. Maszyna poruszana jest siłą pary, gmach cały oświetlony będzie światłem elektrycznem. Prace około wykończenia tego gmachu trwać będą rok jeszcze, poczem stanie się jedną z głównych osobliwości Paryża.

⁂ Pole filozofii nie leży odłogiem w ojczyźnie Kant'a i Hegel'a. Idąc śladem tylu poprzedników, pan Robert Zimmermann ogłosił także swoje pojęcia o układzie świata. Dawniej mądrość ludzką nazywano *filozofią* w przeciwstawieniu *teologii* stanowiącej wiedzę rzeczy boskich, p. Zimmermann uznał, że różnica tych dwóch nazw nie jest dość wybitna i dlatego należy zmienić nazwę *filozofii* na *antropozofią*. Chce on dać przez to do zrozumienia, że wyłącznym jego celem jest badanie człowieka i rozważać świat wyłącznie ze stanowiska ludzkiego, z pominięciem religii. Badaniem pojęć metafizycznych, moralności i estetyki, pragnie uzupełnić antropologię i jak Herbart w swej metafizyce podaje się za kontynuatora Kant'a, tak znowu p. Zimmermann przedstawia się jako kontynuator Herbart'a.

Zimmermann oddawał się głębokiem badaniom astronomicznym, a następnie był w Wiedniu profesorem filozofii, do badań swoich stosuje metodę ścientyficzną, co nie przyczynia się do jasności stylu, a zatem niemałą jest wadą szczególniej u filozofa, boć zadaniem filozofii jest właśnie udostępnienie pojęcia i zrozumienia przyczyn przez jasne pełne prostoty ich wyjaśnienie. Jest on przekonany, że przyszłość gotuje ludom wiele niespodzianek i że wiek złoty jest przed nami a nie za nami i szczęśliwy wiek ten nadejdzie, gdy urzeczywistnią się wszystkie prawdziwe pojęcia kiełkujące i istniejące w zarodku w umysłach ludzkich, gdy jak to powiedział Schopenhauer fizyka stanie się moralnością. Dzieło swoje dzieli na trzy części: *Pojęcia, Rzeczywistość i Sztuka*, a każda część składa się znowu z trzech podziałów; ułatwia to czytelnikowi zrozumienie licznych i zawikłanych idei poruszanych przez autora, ale mimo tej metody wykład jest ciężki i nużący. Gdybyż choć dowiedzieć się po przeczytaniu, kiedy nadejdzie ów zapowiedziany wiek złoty!

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Suknia z koronkowym kaftaniczkiem. Obie suknie dane na rycinie odrobione są jednym fasonem lecz z odmiennych materyałów, pierwsza jest z atłasu merveilleux, druga zaś z jasnego kaszmiru. Spódnica plisowana zakończona szerokim koronkowym wolantem, przód sukni zajmują węższe falbanki koronkowe. Draperya z przodu tworzy krótką namarszczoną bufę, z tyłu bufa przedłuża się aż do wolantu. Stanik bawełowy z niezbyt długiemi rękawami, przykryty koronkowym kaftanikiem, bez rękawów, dopełnionym z tyłu sutym karoczkiem koronkowym. Przy falbankach przednich dane z boków kokardy z wstążki atłasowej.

Kapotka koronkowa że słomkowem rondkiem, związana wązką wstążką i zdobna girlandką kwiatów.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою, Варшава 29 Іюня 1883 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

STARY ZAMEK.

(La Lizardiere).

ROMANS WSPÓŁCZESNY

przez

Wicehrabiego Henryka de Bornier.

Przekład J. B.

(Dalszy ciąg.)

Po Ewangelii, proboszcz wszedł na ambonę i po kazaniu oznajmił owieczkom swoim, że jedno z pobożnych ich życzeń zostało spełnione — kościół w Marcilly posiadać odtąd będzie godzien go obraz. W tejże chwili zasłona niebieska opadła, i ukazał się wielki obraz w złoconych ramach, przedstawiający trzech królów przy żłobku Zbawiciela. Tłum padł na kolana, oniemiały z zadziwienia

Gdy uspokoiło się nadspodziewane wrażenie, zacny proboszcz rzekł wzruszonem głosem:

— I komuż zawdzięczamy ten dar wspaniały? Dzięki tej ziemi naszej, malarzowi którego nazwisko głośnem jest teraz, w całem Paryżu rozlega się echem, panu margrabiemu Janowi de Lizardière. Zanim utwory pędzla jego rozejdą się między ludźmi, on najpierwszy poświęcił Bogu... Pobożny ten czyn powinien przynieść mu szczęście, i proboszcz wasz w obec zebranych tu parafian, dziękuje mu i błogosławi.

Probosz zszedł z ambony, Msza św. odprawiała się dalej, ale trzeba wyznać że wierni modlili się z roztargnieniem, tak pochłaniały ich uwagę błyszczące złote ramy i świetny koloryt obrazu. Kto wie nawet, czy wielu ramy nie wydały się piękniejsze od obrazu.

Hrabia i hrabina, pomięszani tą miłą dla nich niespodzianką, nie śmieli zbyt jawnie przypatrywać się nowemu obrazowi, ale Marylka nie krępując się żadnemi względami, zwracała się co chwila już to do ojca już to do matki, mówiąc:

— Patrz ojcze, ten pierwszy król co ofiaruje złoto, to pewnie król Gasper, jak on do ciebie podobny, król Melchior ofiarujący kadzidło, jest znów bardzo podobny do portretu naszego dziadka, a król Baltazar ofiarujący myrrę, to zupełnie nasz pradziadek admirał... Mamo, spojrzyj tylko, ta Bogarodzica z Dzieciątkiem Jezus na ręku... to ty... poznałam cię od razu... a do kogóż to podobna ta dziewczynka klęcząca przy żłobku?...

— Do ciebie Marylko.

— Ach! jakże mnie to cieszy.

— Dobrze, ale teraz przestań już przypatrywać się i módl się na książce do końca mszy.

Hrabia bardzo zadowolony z tego, że jest podobny do króla Gaspra, miał wielką ochotę iść z bliska przypatrzeć się Trzem królom, nie mógł jednak wyjść z ławki przed końcem nabożeństwa. Jedna tylko Krystyna modliła się spokojnie, klęcząc, pochylona nad książką.

Po skończonej Mszy, hrabia poszedł prędko do obrazu; i otoczony całą radą municypalną objaśniał znaczenie i wykazywał im piękności obrazu. Jan unikając pochwał i podziękowań, wysunął się nieznacznie za Krystyną i Marylką i poszli z powrotem do pałacu.

Marylka biegła przed nimi, zrywając tu i owdzie pierwsze wiosenne kwiatki; Krystyna wsparta na ramieniu Jana mówiła do niego swoim dźwięcznym i zarazem poważnym głosem:

— Dobrze postąpiłeś, kochany kuzynie, powinno się kochać tych co nas kochają, jestto proste i miłe zarazem prawo. Są na świecie trzy wielkie, prawdziwie święte uczucia: miłość Boga, miłość rodzinna i miłość ojczyzny; połączyłeś dwie pierwsze w tej ofierze pobożności i rodzinnego przywiązania, potrafisz poświęcić się dla ojczyzny, gdyby zaszła tego potrzeba, a tymczasem okazuj jej cześć i miłość twoją, pracą, całem twojem zachowaniem się i życiem. Opuścisz nas na jakiś czas; czuwaj nad sobą w Paryżu — strzeż się odurzających upojeń sławy i podstępów powodzenia. Będziesz teraz bogatym; pamiętaj na dobre używać bogactwa, jak umiałeś odnieść korzyść z ubóstwa, i przebacz mi sławny już artysto i kochany kuzynie, ten dodatek do kazania poczciwego naszego proboszcza.

— Dziękuję ci owszem z całego serca, dobra, kochana kuzynko, i proszę bądź zupełnie spokojna, dowiesz się wkrótce, dla czego pragnę być bogatym.

— A! znów jakaś tajemnica... jak o obrazie *Trzech króli...* A wracając się do nich, widzę, że trzymasz się szkoły hiszpańskiej, skoro N. Pannie dałeś włosy czarne?

— Nie, kuzynko, tylko dając twoje rysy, nie mogłem przy nich malować blond włosów.

— Dla czego? byłoby to uderzające i niezwyczajne.

— A potem, przyznaję, że nie lubię blondynek.

— Doprawdy? to mnie dziwi..

— Król Baltazar pozdrawia cię, signor Rafaelu!

Słowa te wypowiedział głośno nadchodzący właśnie hrabia. Porwał Jana wpół, uniósł w górę jak piórko i ucałował tak serdecznie, że aż wąsy swoje odbił na twarzy jego. Chciał tym sposobem okazać kuzynowi swoje uznanie i wdzięczność.

XIV.

Tajemnica Jana.

Gdy Jan de Lizardière przybył do Paryża, nazwisko jego powszechnie już tam było znane. Od dnia przyjazdu wydzierały go sobie salony i koła artystyczne, a jego obejście pełne prostoty, wrodzona skromność, nie dopuszczająca zarozumiałości, dobroć i uprzejmość zjednały mu ogólne uznanie. Nawet kupczący obrazami jedną tylko widzieli w nim wadę, że utworów swoich nie oddawał za bezcen. Przywiózł z Marcilly dwanaście krajobrazów i wszystkie sprzedał za cenę jaką sam naznaczył. W miesiąc po przybyciu do Paryża, tak za sprzedane krajobrazy, jakoteż za zamówione i zapłacone naprzód, zebrał summę 300,000 fr. którą złożył w Banku kredytu gruntowego.

Przy rozdawaniu nagród przyznano Janowi najpierwszą, to jest medal honorowy, nie dość na tem minister ozdobił go krzyżem Legii honorowej, a że był to człowiek nader uprzejmy rozumny i dowcipny, rzekł podając mu order:

— Wiem że jesteś rojalistą, panie de Lizardière, przyjmij pan jednak krzyż kawalerski z rąk ministra bonapartystowskiego, a może kiedy minister rojalistowski wręczy ci wyższy order.

Naturalnie ani sam minister, ani nikt z otoczenia jego nie wierzył temu, i dlatego też mógł to powiedzieć.

Jan bawił w Paryżu cztery miesiące; co tydzień pisywał do Krystyny, która odpowiadała mu regularnie. Podajemy tu dwa tylko wyjątki; z tej nader rozległej korrespondencyi.

Marcilly, 15 czerwca 1868 r.

„Gniewam się na ciebie, kochany kuzynie, ostatni list twój zajmował tylko siedm stronic i to jeszcze pisanych pismem daleko większem niż zwykle, ostatni był lepszy, zawierał całe ośm stronic ścisłego pisma. Hrabia utrzymuje, że to znaczący symptomat — nie chcę powtarzać przypuszczeń jakie czyni. Co do mnie, znając cię lepiej, sądzę iż zapewnie zamyślasz wrócić do nas, niezadługo, i zostawiasz wiele szczegółów do długich naszych wieczornych pogadanek i przechadzek.

„W każdym jednak razie jeźliś zawinił, niechże to będzie karą, że i ja dziś piszę krótko — jestto po prostu list w interesie.

„Ponieważ obecnie jesteś bogatym, trzeba więc pomyśléć o tem, aby dobrze umieścić zapracowane pieniądze. Oboje z mężem nie jesteśmy za nabywaniem akcyj i obligacyj — zawsze to tylko świstki papieru które lada wiatr rozwiewa. Otóż co obmyślił Leopold. Znasz fermę La Mairie, leżącą na wzgórzu, tuż naprzeciw Marcilly, jest ona właśnie do sprzedania; żądają 80,000 fr.; dochodu przynosi 2,000 fr. Jak na naszą okolicę, jestto nabycie bardzo korzystne. Co więcej w La Mairie stoi zamek bardzo rozległy i dobrze zbudowany; włożywszy z jakie 30,000 fr. w restauracyę, będzie prawdziwie pańską siedzibą, bardzo dogodną tak dla ciebie jak dla nas. Marylka utrzymuje, że aby oszczędzić sobie daremnej drogi, ilokroć nie będzie nas w domu, każemy przed wyjazdem wywieszać chorągwie, czy to na wieżyczce w La Mairie czy w Marcilly. To dziewczę robi się coraz dowcipniejsze. Leopold powiada, iż gdyby La Mairie była twoją własnością, on mógłby być w niej panem jako myśliwy, a wiesz iż marzeniem jest jego zostać Nemrodem całej okolicy. Nasze 1,200 hektarów nie wystarczają mu — pragnie rozleglejszej przestrzeni.

„Odpowiedz mi prędko, kochany kuzynie, bo hrabia się niecierpliwi. Ale, dziwi mnie, iż ani razu nie wspomniałeś mi o pannie Désormes, a przecież musiałeś spotkać się z nią gdzieś w salonach paryzkich, w których podobno jest bardzo poszukiwaną.

„Na zakończenie składamy hołd sławnemu malarzowi, a pozdrawiamy serdecznie kochanego kuzyna. Do widzenia.

Krystyna hrabina de Chazé."

Jan odpisał natychmiast, co następuje:

Paryż, 17 czerwca 1868 r.

Ukochana, najlepsza kuzynko!

„Nieocenione serce twoje odgadło prawdę. List ostatni mój był krótszym od innych, bo wracam do was za dwa dni, najlepsi, najserdeczniejsi moi krewni i przyjaciele od lat najmłodszych. Jakże się

cieszę samą już myślą, że znów będę z wami, jak dumnym jestem ze wszystkiego co zaszło, wiedząc jaką radość wyczytam w oczach waszych, gdy się zobaczemy.

„ Dobrze, kupię La Mairie, skoro wy tego chcecie, ale i ja mam zamiar, który ukrywałem przed wami nie wiedząc, czy ziszczą się moje nadzieje — tą tajemnicą, tym zamiarem jest postanowienie odkupienia La Lizardière. Oto powód mojej tak gorliwej i wytrwałej pracy, oto powód dla którego pragnąłem zostać bogatym! Chcę ją odzyskać i odzyskam — to moje godło, które dodam do herbu Lizardière, gdy już zdobędę to stare gniazdo mego rodu.

„ O pannie Désormes nie pisałem, ponieważ wtedy nie spotkałem się z nią jeszcze — a co prawda i nie pragnąłem spotkania. Dopiero w trzy dni po ostatnim moim liście, zobaczyłem ją na wieczorze u księcia M. Otaczały ją szeregi adjutantów cesarza, szambelanów, referendarzy rady stanu i oficerów przeróżnej broni; a ona z miną Kalipso, przed przybyciem Ulissesa, zdawała się przywodzić im i rozkazywać. Nie można zaprzeczyć, że jest bardzo piękna, ale ma w sobie coś imponującego i pogardliwego, co bynajmniej nie zdobi młodej panny... Możnaby powiedzieć, że nosi zawsze jakiś niewidzialny diadem, w którym mieszczą się niezliczone miliony jej ojca. Co do mnie, wolałbym najskromniejszy kwiatek.

„ Jestem jednak niewdzięczny, gdyż dla mnie była nadzwyczaj uprzejma i ujmująca; zstąpiła ze szczytu swej wielkości, aby z zajęciem pytać o was wszystkich; z wielkim wdziękiem winszowała mi powodzenia, a na domiar swej wspaniałomyślności, nagle zawołała wesoło: „A cóż porabia Klodion?... Czy wie pan, że poznałam go odrazu w tem pięknem *Polowaniu na dzika!*“ Nie powiedziała jednak, czy i siebie w nim poznała. Ale powtarzam, byłaby pełną powabu, gdyby nie brak nieco naturalności i prostoty.

„ Co do mnie, ponieważ mam moje zamiary, postępowałem jak wyrafinowany dyplomata. A czy wiesz, kochana kuzynko, kogo obrałem sobie za wzór w tej tak uroczystej okoliczności, oto naszego pięknego kuzyna, Kajetana de Cambry. Widziałaś go, zdaje mi się, przypuszczającego szturm do serc najpiękniejszych kobiet w Tours i w Mans. Zachowanie jego tchnęło szacunkiem, spokojem, czemś niewysłowionem zdradzającem ukrywane uczucie i uwielbienie, jakieś mimowolne porywy, niby zapomnienie o wdziękach kobiety, a podziwianie jedynie jej zalet i przymiotów umysłu, i rozmawianie z nią o samych tylko rzeczach poważnych i wzniosłych.

„Otóż starałem się naśladować go wiernie. Nie myśl jednak, kochana kuzynko, że zmieniłem zupełnie zwykłe i właściwe memu charakterowi poważne zachowanie — bynajmniej — mówiłem mało, słuchałem uważnie. Wyłożono mi całą teoryę polityczną, a szczególniej odnośnie do liberalnego cesarstwa; schyliłem przed nią głowę z rodzajem pochlebnego zadziwienia. Zrozumiałem w końcu, że nie mam do czynienia z najzupełniej nieprzejednaną nieprzyjaciółką — a był to właśnie cel do którego zmierzała cała moja dyplomacya. Teraz prawie pewny jestem, że zgodzi się na odprzedanie mi Lizardière, naturalnie z warunkiem zwrotu wszelkich kosztów wyłożonych na restauracyę i upiększenia.

„Łaj mnie, kuzynko, bo zasłużyłem na to, gdyż ciągle czuję wielką jakąś niechęć do panny Rajmundy; nie mogąc zapomnieć, że upokorzyła mnie swoją pyszną pogardliwą hojnością, nie mówiąc już o tem, że z jej przyczyny mogłem stracić życie. Jeden tylko Klodion przemawia na jej korzyść.

„Może sądzę ją za surowo, ale w bardzo wykwintnych i bardzo światowych towarzystwach w jakich przebywa panna Rajmunda, przezwano ją *boginią bez serca*. Jak mi mówiono, powodem tego jest, iż odmawia niemiłosiernie wszystkim pretendentom, jak gdyby zwykli śmiertelnicy znieważali ją samą myślą pozyskania jej ręki. Odprawieni kunkurenci stanowią ligę nieprzychylnych.

„Co do mnie, gdy raz odprzeda mi Lizardière, zapomnę chętnie nieprzyjemności, jakie spotkały mnie z jej przyczyny.

„Donoszę ci jeszcze, kuzynko, że panna Rajmunda wyjeżdża jutro do Turenii i ma wraz z rodziną spędzić kilka dni w Lizardière, którego restauracya jest już ukończoną.

„Sądzę kochana kuzynko, że kapitał mój wystar" czy na to podwójne kupno: będę mieć Lizardière, bo chcę tego koniecznie, będę mieć la Mairie, bo wy tego chcecie. Marylka powzięła doskonałą myśl co do tych dwóch chorągwi; jedna będzie biała, druga trójkolorowa — wszak tak? Otóż ja zamawiam sobie białą, zaś kochany kuzyn, nie tak zacięcie obstający przy swoich opiniach politycznych, wywiesi trójkolorową. Wszak prawda, że nie powinienby tak mówić ten, kto otrzymał order od rządu cesarskiego? Cóż robić, w każdym razie proś kuzynko hrabiego, aby przygotował kilka butelek swego doskonałego wina, którem oblejemy moją czerwoną wstążeczkę.

„Bywaj zdrowa i zarazem do widzenia, kochana kuzynko, rozpisałem się długo bo cię kocham i jestem szczęśliwy.”

Jan de Lizardière.

Łatwo pojąć jak radośnie powitano powracającego Jana. Stare przysłowie narodów mówi: że w nieszczęściu poznajemy prawdziwych przyjaciół — ale szczęście ocenić ich dozwala.

Pewien moralista mizantrop, powiedział: „W nieszczęściu spotykającem najlepszych naszych przyjaciół, jest zawsze coś, co nie koniecznie nam się nie podoba.” Myśl tę można zdaje się uzupełnić następującą: „Zawsze coś nie podoba nam się w szczęściu, stającem się ich udziałem.”

La Rochefoucauld nie byłby tego napisał, gdyby był świadkiem powrotu Jana do Marcilly. Byłby widział spokojną radość, wesołość uśmiechy mówiące więcej niż słowa, milczenie, przedłużane dla lepszego usłyszenia tajemniczej serc rozmowy, nieustanne pytania i opowiadania nie jednokrotnie powtarzane.

Marylka szczególniej coraz nowe wymyślała pytania, bawiąc się orderową wstążeczką Jana, chciała wszystko wiedzieć, wszystko rozumieć dokładnie. Aż nagle położyła palec na czole Jana

— A gdzież twoja gwiazda, kuzynku Janie?

— Jaka gwiazda, Marylko?

— Przecież czytaliśmy w gazecie: Dowiadujemy się, że pan Jan de Lizardière wyjeżdża z powrotem do Turenii — wraca więc w rodzinne strony z gwiazdą na czole. Gdzież ta gwiazda, kuzynie.

— Jakie z ciebie dziecko, Marylko; wyrażenie z gwiazdą na czole znaczy że wraca sławny. Gwiazda użyta jest jako przenośnia.

— Cóż to jest przenośnia?

— Sposób wyrażania się, nie nazywając rzeczy właściwem nazwiskiem.

— Kiedy tak, nie chcę, nie lubię przenośni; służą tylko do wprowadzenia w błąd.

Zasiedli do pierwszego po powrocie obiadu, jaki zawsze bywa niezwykle ożywiony. Przy wetach podano stare wino; hrabia napełnił kielichy, i ukrywając wzruszenie, zawołał patetycznie:

— Na cześć i sławę naszego ukochanego kuzyna, wielkiego i potężnego margrabiego de Lizardière.

Hrabia i Jan wychylili kielichy i znów je napełnili; Krystyna nie pijąca nigdy wina, umaczała usta w swoim kieliszku nawet Marylka, przez szczególny wyjątek, dostała pół kieliszka, aby wypiła za zdrowie i powodzenie kuzyna.

Swoim zwyczajem, hrabia zdrzemnął się po obiedzie; zanim jednak zasnął rzekł do Jana:

— Dziennik Marylki ma słuszność; masz gwiazdę na czole!

Jan odchodząc, rzekł do Krystyny:

— Moja dobra kuzynko, chciej wyświadczyć mi przysługę; pojedź ze mną jutro do Lizardière.

— Zaraz jutro?

— Tak, panna Rajmunda przyjechała tam wczoraj, znając mój zamiar, łatwo pojmiesz kuzynko, jak mi go pilno urzeczywistnić.

— Dobrze kuzynie pojedziemy jutro.

Jan odszedł do siebie wesoł i pełen nadziei; Krystyna była zamyślona i niespokojna.

XV

Tajemnica panny Rajmundy.

Pan Désormes wyszedł z synem do lasu; pani do towarzystwa spała trochę po obiedzie, panna Rajmunda została sama w wielkim salonie pałacu Lizardière.

Nie było to już zrujnowane zamczysko, jakie widzieliśmy w początkach tego opowiadania.

Usunięto stare budowle gospodarskie; przed główną fasadą pałacu roztaczał się rozległy dziedziniec otoczony drzewami, na murawie urządzono kobierzec kwiatowy. Parter wyniesiony trzy metry po nad gruntem, zdobił okazały peron ze schodami rozchodzącemi się na dwie strony. Pomiędzy dwoma pawilonami wznosił się piękny portyk, a przed nim okazały taras. Po nad portykiem rozsiadło się pierwsze piętro; na rogach jego i między oknami stały przepyszne karyatydy. Tylna i boczne fasady były pełne prostoty. Odnowienie to było prawdziwem dziełem sztuki, doskonałą *restytucyą*, wyrażając się modnie.

Wnętrze było równie piękne, równie bogate. Prawdziwy smak artystyczny towarzyszył urządzeniu i wyborowi mebli. Pełno tu było drogocennych sprzętów, szkatułek, skrzynek, wielkich szaf rzeźbionych, flamandzkich tkanin, kobierców, dzbanów emaliowanych, kryształów weneckich, bronzowych pogrzebaczy w stylu z XVI wieku. Było to muzeum Cluny w miniaturze.

(D. c. n.)

PANI TEODORA.

przez

Panią Klementynę Helm.

Przekład z niemieckiego.

przez

K. P.

(Dalszy ciąg.)

Starała się wyzwolić od bolesnego przeczucia że szczęście jej mogło być zniweczonem. Nie, nie potrzebuje obawiać się tego dopóki jej nie zabraknie woli i odwagi, zaraz jutro zajmie się szczerze tem nieznośnem gospodarstwem, i Fryderyk zapomni wkrótce o swem niezadowolnieniu.

Zbrojna w to postanowienie przepędziła wieczór spokojnie, przedstawiając sobie, jaką to radość sprawi mężowi, gdy spostrzeże w niej i w domu tak miłą dla siebie zmianę. Może jednak wyraziliśmy się nie właściwie, mówiąc, że przepędziła wieczór spokojnie, bo nawet długo nie mogła zasnąć myśląc o zmianach, jakie zamierzała zaprowadzić, a dotego przyłączyły się jeszcze nieznane jej przed tem kłopoty, które dotąd uważała za tak poziome i niegodne zamącić spokoju wznioślejszej duszy, że nie sądziła aby ją kiedyś mogły dotknąć, słowem niepokoiły ją kłopoty pieniężne. Przed tem nie znała ich zupełnie, matka myślała o jej potrzebach, dostarczała jej pieniędzy na drobne wydatki i przyjemności, i nigdy się nie dziwiła widząc, że woreczek jej jest pusty. Nieszczęściem Fryderyk przyzwyczajony od dzieciństwa do wyrachowania i systematyczności, nie pochwalał tego prostego i wygodnego systemu i skrzywił się bardzo, gdy żona prosiła go aby zasilił jej kassę przedwcześnie opróżnioną.

— Tak nadal nie może być, powiedział; w przeciwnym razie nie wystarczy nam do połowy miesiąca.

Nie ma nic tak drażliwego, nic równie łatwo sprowadzającego nieporozumienie w małżeństwie, nad zajścia, wynikające z powodu wydatków domowych, a na nieszczęście te właśnie najwięcej są upowszechnione. Mężczyzna któryby z miłym uśmiechem spełnił pośbę żony, gdy ta żąda od niego pieniędzy, może być uważanym za wzór dobrego męża; ale też jak wszelkie doskonałości, nie znajduje się prawdopodobnie na świecie. Ma się rozumiéć że ten człowiek tak szczodrobliwy musiałby jeszcze posiadać możność dawania; to jest miéć majątek, dozwalający mu na to. Niestety! największa część mężów poprzestaje tylko na zalecaniu biednym gospodyniom jak najściślejszej oszczędności i wywiązawszy się z tego obowiązku, cieszy się tą nadzieją, że ich żony dzięki tej radzie, potrafią z pieniędzy wystarczających zaledwie na bardzo skromne utrzymanie, dawać im smaczne obiady i otoczyć wszelkiemi wygodami.

Takie to kłopoty niepokoiły Teodorę, którą codzień dręczyło to powtarzające się niezmiennie pytanie: Co dać jutro na obiad, żeby było smaczne a mało kosztowało, gdyż woreczek mój wypróżnia się z przerażającą szybkością, a Fryderyk powtarza ciągle: „Jeden fenig wydany niepotrzebnie codzień, utworzy talara przy końcu roku; z kawałków chleba zmarnowanych złoży się z czasem bochenek." A! obmyśliła nakoniec... ale czy Fryderyk będzie z tego zadowolniony? Usiadła na łóżku i zapytała męża zniżonym głosem:

— Czy już śpisz Fryderyku?

Zasypiał właśnie, i zadrżał przebudzony nagle jej prawie płaczliwym głosem.

— Co ci jest, moja droga, czy jesteś słaba?

— Nie, nie, jestem zupełnie zdrowa; chciałam się tylko zapytać, czy lubisz ryż na mleku.

— Tak, odpowiedział wybuchając śmiechem, przepadam za ryżem na mleku; ale śpij teraz, moje biedne dziecko, bo gdyby matka twoja dowiedziała się, że kłopoty gospodarskie sen ci odbierają, gotowaby odebrać mi cię napowrót, abyś mogła poświęcić się wyłącznie muzom, które musisz zaniedbywać z mej winy.

XI.

Usiłowania.

Przez kilka dni tak sztuki piękne, jak książki były całkiem zaniedbane, gdyż Teodora wierna swemu postanowieniu zajęła się wyłącznie gospodarstwem. Układała w szafach, szyła, ścierała kurz z mebli, rozciągnęła ścisły dozór nad Lizetą. Były to jednak tylko wstępne kroki do ulepszeń jakie zamierzała zaprowadzić, gdyż chciała zadziwić męża jawnym dowodem postępu w umiejętności dotąd całkiem dla niej obcej, to jest w sztuce kucharskiej. W tym celu przejrzała przepisy pozostawione przez ciotkę Polusię, i wybrała budyń, ktory bardzo smakował Fryderykowi gdy mu go podano u pani Gahlen. Powziąwszy raz to śmiałe przedsięwzięcie udała się do kuchni, gdzie Lizeta rozzłoszczona tem, że pani postanowiła nakoniec zrzucić z siebie jarzmo, którem ją tak zuchwale obciężyła, nie skąpiła jej złośliwych uwag i dowodów złego humoru. Teodora zajęta pracą tak trudną dla siebie, zdawała się nic nie widziéć i nic nie słyszéć, sama utarła masło z mąką, sama wsypała cukru, wycisnęła cytrynę, wysmarowała foremkę.

Nakoniec legumina została wstawioną do pieca, gdzie miała pozostać godzinę, a Teodora niedowierzająca Lizecie, usiadła z książką w kuchni, i spoglądała często na zegarek, gdyż przyjemna woń zaczęła się rozchodzić po kuchni, budyń wyrastał, przyrumieniał się, i pilno jej było pochwalić się swem dziełem Fryderykowi, patrzéć na jego zadowolnienie.

Gdy przy obiedzie podano budyń, Teodora ukroiła śpiesznie kawałek, podała mężowi, i oczekiwała na pochwały, stokroć dla niej cenniejsze nad te które odbierała za swe obrazy, lub artystyczną grę na fortepianie.

Niestety! Fryderyk wstrząsnął się i skrzywił straszliwie zaraz przy pierwszem kawałku, a potem wypił duszkiem szklankę wody.

— Co ci się stało? Czy budyń nie zdarzony?

— Sprobój go tylko, moja droga. a przekonasz się sama, odpowiedział na pół z gniewem na pół ze śmiechem, nalewając sobie szklankę wody.

Teodora zastosowała się do rady i zawołała przerażona.

— Jakież to szkaradne! Co się to stało? Doprawdy nie mogę tego zrozumiéć.

— Ja zaś rozumiem, odpowiedział Fryderyk spokojnie: zamiast miałkiego cukru wsypałaś soli i to hojną ręką.

— To być nie może, odpowiedziała Teodora ze łzami w oczach, nie... zapewnie Lizeta chcąc mi zrobić na złość, wsypała garść soli do ciasta gdy odwróciłam się na chwilę. Gniewało ją to, że chciałam sama zrobić leguminę.

— No, trzeba przyznać, że jeżli postanowiła ją zepsuć to udało jej się wybornie. Każ podać coś innego, bo pomimo najlepszych chęci nie potrafiłbym tego przełknąć.

Teodora nie mówiąc już ani słowa, kazała przynieść następną potrawę, ale nie chcąc aby Lizeta cieszyła się z tego, że przyrządzonego przez panią budyniu nie można wziąć do ust, schowała go pierwej do szafy, którą na klucz zamknęła, tak smutna i zniechęcona jakby ją spotkało jakieś prawdziwe nieszczęście. Prawdopodobnie gdyby usłyszała z ust męża jedno słówko podziękowania za tę pierwszą próbę, dowodzącą w każdym razie że pragnęła mu się przypodobać, byłoby ją to pocieszyło, ale Fryderyk odebrał właśnie list niemiły, jak się zdawało, bo czytając go zachmurzył się i zmarszczył brwi, a zapominając o zmartwieniu żony, zresztą śmiesznem według niego, skończył śpiesznie obiad, i wyszedł prędko z pokoju, aby odpisać Felsing'owi.

Teodora oczekiwała aż do ostatniej chwili podziękowania od męża za to, że porzuciła pendzel i fortepian aby się wykształcić na kucharkę. Wprawdzie pierwsza próba nie powiodła się, ale czy nie powinienby zważać więcej na jej dobre chęci, niżeli na ich skutki? Na co się zdało tracić najpiękniejsze dnia godziny? Co jej z tego przyjdzie? Po co ma porzucać zajęcia, tak dla niej miłe i łatwe, gdy nie może spodziewać się żadnego uznania za to, że się zmusza do innych, tak przeciwnych jej usposobieniu? Teodora nie uważała bynajmniej zajęć gospodarskich jako obowiązku ciężącego na niej, i znosiła je tylko przez wzgląd na męża; zdawało jej się rzeczą śmieszną i niedorzeczną myśléć zawsze o smutnej prozie życia; zamiłowanie Fryderyka w porządku było podług niej przesadą, nudziarstwem, a gdyby mniej kochała męża, dodałaby jeszcze—nieznośnem.

Ale wróémy do jej obecnych kłopotów; co miała zrobić z tym nieszczęsnym budyniem, stojącym w szafie, jak pomnik przypominający jej niepowodzenie? Nie podobna go było oddać ubogim wraz z innemi resztkami, gdyż w takim razie mogłaby zobaczyć chytra Lizeta, prawdziwa sprawczyni złego. Po głębokim namyśle zawinęła budyń w gazetę, włożyła w koszyczek, wybiegła wieczorem do ogrodu, wykopała dołek, i w tym grobie pochowała niewinną ofiarę niedoświadczonej gospodyni i złośliwej sługi. Nieszczęściem pogrzebała jednocześnie wszystkie zamiary obznajmienia się ze sztuką kucharską, którą spodziewała się nabyć prędko i bez żadnych niepowodzeń i trudności. Wtenczas dopiero ukazała jej się cała komiczna strona tego zdarzenia, i tak ją rozśmieszyła, że gdy Fryderyk wrócił powitała go z wesołością, nie dozwalającą się domyślać jej poprzedniego smutku.

Teodora wyrzekła się nadal wszelkich prób w sztuce przyrządzania potraw, ale nie wygasła jeszcze w jej sercu chęć zasłużenia na pochwały Fryderyka za pomocą innych środków, choćby to ją osobiście wiele kosztować miało.

Przypomniały jej się słowa narzeczonego o dwónastu tuzinach pończoch na wyprawę, a jakkolwiek nie myślała dojść do tak wielkiej liczby, zaczęła z pomocą Heleny pończochę, i czekała ciekawie na to, co powie Fryderyk, który dawniej tak ubolewał, że miała wstręt do podobnych robót.

Fryderyk przyzwyczaił się pracować samotnie w swoim pokoju, i nawet po ślubie rzadko odstępował od tego nawyknienia. Teodora zaczęła się w końcu uskarżać na swoje osamotnienie, i dlatego

wieczorem usiadł obok niej, przynosząc z sobą korektę jakiejś naukowej książki. Ucieszona tem wyjęła natychmiast z szafy zaczętą pończochę, i czatowała niecierpliwie na pierwsze spojrzenie męża, na pierwszy jego okrzyk miłego zadziwienia, gdy zobaczy w jej ręku podobną robotę. Tymczasem Fryderyk zajęty wyłącznie swą pracą, czytał i poprawiał, poprawiał i czytał, nie podnosząc oczu.

— Spojrzy na mnie, gdy skończy tę kartę, pomyślała sobie Teodora, patrząc na niego niespokojnie. Widząc jednak, że książka pochłania całą uwagę Fryderyka, zaczęła kaszlać lekko, a następnie silniej:

— Czy sobie życzysz czego? zapytał podnosząc głowę trochę niechętnie.

— Tak, odpowiedziała z uśmiechem, życzę sobie abyś spojrzał na moje ręce.

— Najchętniej, ale dla czego? zapytał zadziwiony Fryderyk.

— Dlaczego? więc nie widzisz? zawołała Teodora, poruszając prędko drutami.

— Nie, cóż tam jest do widzenia?

— Że robię pończochę! zawołała tryumfująco, pokazując swą robotę mężowi, na którym ten widok nie sprawił najmniejszego wrażenia. Nie domyślając się, jak wielką cenę żona przywiązuje do jego pochwały, poprzestał, na tej niezbyt zachęcającej uwadze.

— To widziałem, ale nie ma w tem przecie nic zadziwiającego.

Zajął się znów korektą, a biedna Teodora smutnie pochyliła głowę. Gniewała się na męża za jego nieprzewidzianą obojętność, zła była na samą siebie, że już po raz drugi naraziła się na tak gorzki zawód. Co do Fryderyka, widział tak często matkę i siostry robiące pończochę, że zdawało mu się, iż nie możnaby znaleźć roboty łatwiejszej do wykonania, co nie zgadzało się z przekonaniem Teodory. nie mającej najmniejszej wprawy. Cóż to za nudna na robota! pomyślała, czy nie lepiej byłoby coś przeczytać? Po chwili przyszła jej na myśl zajmująca powieść angielska, którą nie dawno skończyła. Aby nie zapomnieć angielskiego języka czytywała w oryginale dzieła swych ulubionych autorów.

— Czy wiesz Fryderyku, co zwróciło moją uwagę, gdy czytałam angielskie powieści, rzekła widząc że mąż przerwał na chwilę robotę i wsparł się na poręczy fotelu, oto że tamtejsi autorowie nie lubią aby bohaterki miały matki; przedstawiają zwykle jakieś istoty samotne i bez opieki, a jeźli czasem pozostawią przy życiu matkę rodziny, to każą jej odgrywać jakąś wstrętną rolę, jak lady Ashtoon w *Narzeczonej z Lamermoru*. Zresztą i niemieccy pisarze mają swoje słabostki; naprzykład córki pastorów są u nich zazwyczaj istotami idealnemi na wzór Fryderyki Sesenhain, Goethe'go, o ile zaś mi wiadomo, te panny są pod każdym względem podobne do wszystkich innych. Następnie każda bez wyjątku bohaterka posiada, w skutek szczególnej Opatrzności, długie włosy wijące się w pierścienie, i umie je odrzucać w tył zalotnym ruchem głowy, jest obdarzona cerą przypominającą lilie i róże, której nie szkodzą ani ostre podmuchy wiatru, ani gorące promienie słońca, a na koniec mają zwyczaj nosić kapelusz zawieszony na rękę, zamiast włożyć go na głowę, jak to nakazuje logika. Nie wiem także, czemu autorowie mówią „my" gdy odzywyją się w swoim imieniu. Wytłomacz mi to Fryderyku.

Teodora mówiąc to patrzyła na swą pończochę obawiając się, aby nie pospuszczała oczek, i nie spostrzegła, że mąż jej nie słucha wcale. Wiedziała już z doświadczenia, że mąż jej, jak zresztą wielu uczonych, pogrążał się niekiedy tak głęboko w swych myślach, że zapominał o wszystkiem zresztą, i nie raz już żartowała z niego, gdy na jej pytania odpowiadał na traf tak lub nie. Dlatego też teraz nie odbierając żadnej odpowiedzi, spojrzała na niego i wybuchnęła śmiechem?

— Szkaradny człowiek! zawołała, nie słyszał ani sylaby z tego co mówiłam; nie zwracał najmniejszej uwagi na moje głębokie spostrzeżenia. Jakże ukarać tak niedobrego męża, zapominającego zupełnie o swej biednej żonie.

Wstała i objęła rękami szyję Fryderyka jakby go chciała udusić, rozbudzony tym sposobem z zamyślenia, przeprosił ją przyrzekł poprawę i ucałował. Lecz gdy nstępnie zabrali się znów do roboty, Teodora nie miała odwagi zmuszać się dłużej do robienia pończochy. Na co się to zdało, skoro Fryderyk, dla którego skazywała się na takie nudy, przyjął to poświęcenie z takiem lekceważeniem. Po co miałaby się męczyć dłużej? Schowała pończochę do stolika a wzięła książkę, lecz zanim ją otworzyła przypomniała sobie, że pani Galen darowała synowi tuzin chustek do nosa, a Fryderyk prosił ją już parę razy aby je obrąbiła; westchnęła ciężko, ponieważ szycie i roboty na drutach były dla niej równie nudnem i niemiłem zajęciem, ale położyła książkę a wyjęła chustki z szafy.

Nasuwały jej się różne myśli gdy zakładała machinalnie obrąbki, ale nie próbowała już wypowiadać ich swemu towarzyszowi, który, jak miała tego świeży dowód, nie zwracał nawet uwagi gdy do niego mówiła. Różnica istniejąca między ich charakterami stawała się coraz widoczniejszą; Fryderyk spokojny, zamknięty w sobie, nie rozumiał wcale tak zwanej potrzeby wylania swych uczuć i myśli. Żyjąc dotąd prawie wyłącznie z literatami i uczonymi, nawet w ich towarzystwie ożywiał się tylko wtenczas gdy mówiono o naukach, a wyłączał się od rozmowy gdy przechodziła na inny przedmiot. Wnosząc z doświadczenia, nabytego w swej rodzinie, sądził, że z kobietami można mówić tylko o drobnostkach nie godnych aby na nie zwracano uwagę, i że myśli ich nie przechodzą zakresu zajęć gospodarskich na które zapatrywał się z prawdziwie męzkiem lekceważeniem, jakkolwiek czuł dobrze iż są niezbędnemi. Gdy poznał Teodorę zadziwił się widząc jak wysoko może się wznieść umysł kobiety, a zadziwienie to wzrosło jeszcze skoro się przekonał, że to nie jest jakiś szczególny wyjątek, że wiele kobiet może śmiało mówić o literaturze, o niektórych naukach, i o sztukach pięknych. Tylko ponieważ rozmowa z nimi wymagała lekkiego dowcipu, a Fryderyk nie czuł się do tego zdolnym, więc wolał nie mieszać się do niej.

Nie bardzo podobało się to jego narzeczonej, ale otoczona zawsze ludźmi szukającemi z nią rozmowy, nie doznawała z tego powodu zbyt przykrego wrażenia. Inaczej było teraz, gdy Teodora została pozbawioną towarzystwa osób ukształconych, w którym znajdowała tyle przyjemności; Fryderyk kochał ją niezaprzeczenie, jednak nie przyszło mu na myśl, że wartoby oderwać się na jakąś godzinkę od interesów i książek, i poświęcić ją żonie, której uczucie osamotnienia co raz silniej czuć się dawało Chciała parę razy wziąć jakiś udział w pracy swego męża ale odrzucił grzecznie jej pomoc: uważał że to nie właściwe zajęcie dla kobiety, i że byłoby śmiesznością, gdyby się do tego mięszała.

Teodora odtrącona w ten sposób usiłowała pogodzić się z swym losem; pomimo to z każdym dniem życie wydawało jej się cięższem i posępniejszem. Znalazła się nagle w obcym sobie świecie: ludzie światli, dowcipni, artyści, zbliżający ją do swego grona; pozostali razem zdala od niej; uprawiają jak dawniej swe talenta, tworzą dzieła sztuki, słowem żyją, gdy ona wpada w jakieś otrętwienie. Ta przybrana rodzina, ci nowi przyjaciele i znajomi, mają tak ciasne wyobrażenia, tak samolubne i nędzne, dążności, tak dzikie i nieprzyjazne przesądy przeciwko wszystkim nie należącym do ich koteryi. Czy zdoła kiedy czuć się swobodną w ich towarzystwie?

Schiller powiedział: „Wzniosłe serce potrafi stworzyć sobie swój świat." Niestety! widać, że nie mam wzniosłego serca, bo samotność, jest dla niego ciężką i gorzką.

Wszystkie te uwagi i myśli snuły się w głowie Teodory, gdy smutna i milcząca obrąbiała chustkę Podobne roboty małą właśnie tę wielką wadę, że pozwalają bujać wyobraźni, i oddawać się marzeniom Jakież to dziwne lub szalone myśli krążą nie raz w młodej główce, gdy palce szyją machinalnie.

— O! mój Boże, pomyślała Teodora, opuszczając ręce na kolana, jakież to pustki muszą być w głowie osoby zajmującej się wyłącznie podobnemi rzeczami! Smutno już, jeźli konieczność do tego zmusza, a cóż powiedzieć o kobietach które z zamiłowania obrały takie życie? Do nich to Jean-Paul wyrzekł te słowa:

„Powiedzcie mi, czy przy tem waszem szyciu, w tej waszej kuchni, w tej waszej pralni, nie zapomniałybyście, że macie duszę?"

XII.

Niedziela.

Zwyczaj istniejący od dawnych czasów w rodzinie Gawlen'ów, nakazywał jej członkom, aby w niedziele zasiadali razem do rodzicielskiego stołu. W dni powszednie, Altmanowie z dziećmi jadali u siebie, ale na obiady świąteczne przychodzili zawsze do matki; Fryderyk i Teodora musieli iść za ich przykładem. Pomimo serdeczności zaproszenia, pomimo, że ten zwyczaj mógł być godnym poszanowania, nie podpada wątpliwości, że to przymusowe zbieranie się razem, mogło nie raz być uciążliwem dla osoby, przywykłej rozporządzać swobodnie swym czasem.

Przez cały tydzień Teodora wzdychała smutnie myśląc o niedzieli, którą dawniej obiecywała sobie spędzać tak wesoło, tak przyjemnie w towarzystwach Fryderyka, odpoczywającego po swych mozolnych zajęciach. Będą mogli rozmawiać, czytać, wyjść razem na przechadzkę. Niestety! i to marzenie zawiodło ją jak tyle innych, niedziele rzeczywiste nie miały w sobie nic ponętnego dla niej. Dawniej lubiła bywać w kościele, ale tu kazania pastora Martin, były tak surowe, oschłe i przestraszające, gdy wyjątkowo zastępował pastora diakon Hiller, różniący się pod każdym względem od swego zwierzchnika. Fryderyk żył z nim w przyjaznych stosunkach, a Teodora uważała matkę jego, panią Hiller za najlepszą w całem mieście.

(*D. c. n.)*

———

Opis do N. 28.

(Dokończenie).

N. 15. Kapotka pleciona z pletni naśladującej wierzbinę.

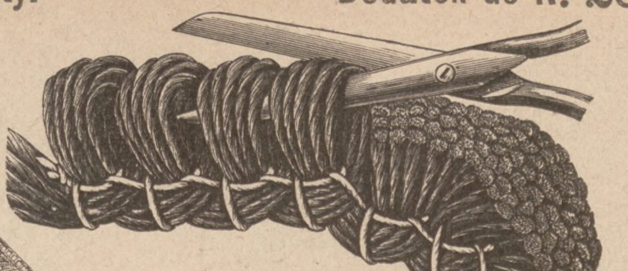
Mała oryginalna kapotka pleciona z pletni jasno i ciemno zielonej naśladującej wierzbinę, podszyta tylko wewnątrz główki, ma również oryginalne przybranie z szyszek olszowych i zielonej aksamitki 3—4 cent. szerokiej. Rondko w wysoki ząb podniesione nad czołem podpina się szyszkami.

N. 16. Kapelusz okrągły przybrany złotą pletnią.

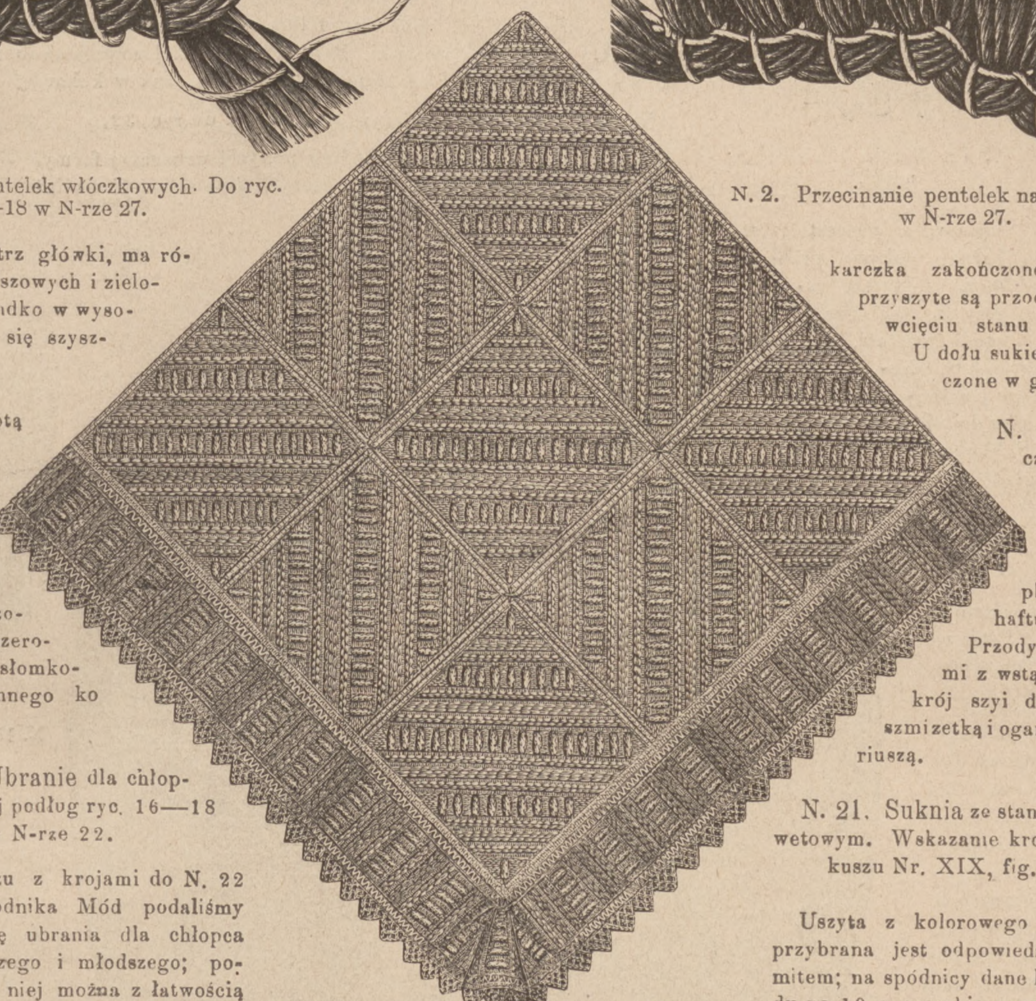
Fason z piaskowej słomki przybrany jest 3 c. szeroką pletnią złotą, aksamitką jasno i ciemno bronzową i pi[illegible]em tegoż koloru. Rondko podszyte bronzowym aksamitem, zakończone 3 cent szeroką pletnią słomkową odmiennego koloru.



N. 1. Wiązanie pentelek włóczkowych. Do ryc. 17—18 w N-rze 27.



N. 2. Przecinanie pentelek na riuszę r. 17—18 w N-rze 27.



N. 3. Tło z kwadratów i szlak do kołdry; robota na drutach. Patrz ryc. 4.



N. 7. Suknia z bluzką i draperyą dla panienki lat 9—11. Patrz ryc. 33. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 60—63.

N. 17. Ubranie dla chłopczyka. Kroj podług ryc. 16—18 w N-rze 22.

Na arkuszu z krojami do N. 22 Tygodnika Mód podaliśmy formę ubrania dla chłopca starszego i młodszego; podług niej można z łatwością dopasować ubranie dla chłopczyka lat 4—8, jakie dziś przedstawia ryc. 17. Składa się ono z bluzy, staniczka i majteczek uszytych z dymki angielskiej, przybranych perkalem w pasy granatowe; staniczek spodni jest cały z perkalu w paski, a kołnierz i mankiety mają brzegi ostębnowane szeroką plisą granatową, daną także u dołu majteczek. Guziczki stalowe; pasek skórzany ze stalową klamerką.



N. 5—6. Mankiet i kołnierz koronkowy. Deseń na arkuszu fig. 70-71.

N. 18. Sukieneczka wycięta dla małej dziewczynki. Krój jak do ryc. 33 w N-rze 23.

Haftowany plastron z przodu można zastąpić materyałem deseniowym lub odmiennego koloru; z boków plastronu sukieneczka zaszyta jest w zakładki. U dołu spódniczki falbanki haftowane; wykrój szyi i rękawki ogarnirowane koronką, przewleczoną aksamitką. Kokardy na ramionach z wązkiej wstążki tegoż koloru co szarfa 15 c. szeroka.

N 19. Sukienka bluzkowa dla małej dziewczynki.

Do gładkiego karczka zakończonego w około marszczeniem i koronką przyszyte są przody i plecy, złożone w równe fałdki a na wcięciu stanu przemarszczone na szerokość 5 cent. U dołu sukienki dane 3 falbanki, rękawy zmarszczone w górze i u dołu.

N. 20. Sukienka z vetement dla dziewczynki lat 6—8. Krój jak do ryc. 14 i 15 w N-rze 22.

Vêtement z jasno niebieskiego zephyru, ozdabia efektownie bawetowy plastron, szeroki kołnierz i mankiety z haftu maszynowego; zapięcie dane z boku. Przody vêtement podpięte à paniers kokardami z wstązki; wykrój szyi dopełniony szmizetką i ogarnirowany riuszą.

N. 21. Suknia ze stanikiem bawetowym. Wskazanie kroju na arkuszu Nr. XIX, fig. 67.

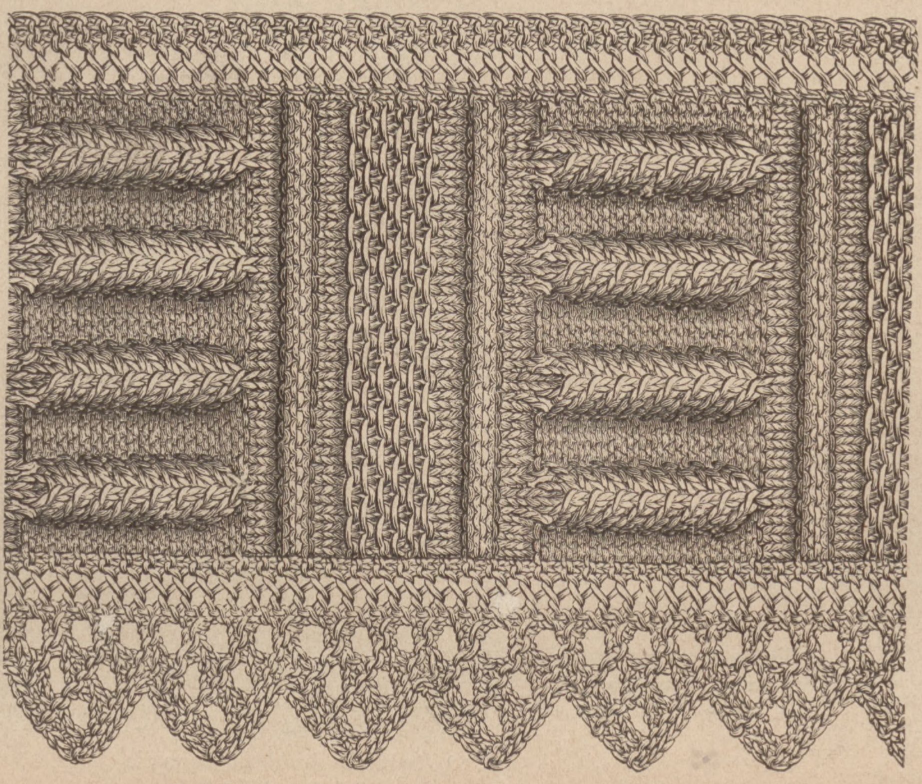
Uszyta z kolorowego zephyru, przybrana jest odpowiednim aksamitem; na spódnicy dane kontrafałdy po 10 c. szerokie, przedzielane pasami aksamitu 12 cent. szerokiemi; przybranie to zajmuje na długość 72 cent. Na fig. 67 wskazujemy krój i wymiar draperyi: bryty *a* i *b* oznaczają niższą część przednią; bryt *a* po sfałdowaniu brzegu bocznego do 20 c. długości, przyczepia się o 22 c. poniżej stanu, przy lewym bocznym szwie sukni i złączony jest z odpowiednim brzegiem bryta *b* (pasując dwukropkiem do dwukropka) sfałdowanym do 14 c. długości, pod wielką aksamitną kokardą. Zaokrąglony brzeg bryta *a*; po sfałdowaniu przyczepia się z prawej strony sukni. Nad draperyą dana jest bufa zmarszczona u góry i u dołu, 27 cent. długa, a 210 obwodu licząca. Tylny bryt mierzy się i fałduje podług litery *c* na fig. 67. Stanik bawetowy przybrany aksamitną kamizelką ma z tyłu frakowe karoczko. Kołnierzyk stojący z koronkowym żabotem i kokardą; rękawy przybrane odpowiedn



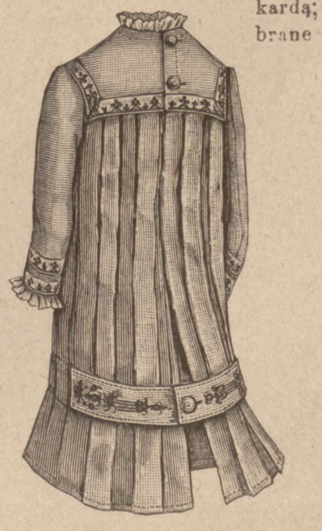
N. 8. Sukienka z bluzką dla panienki lat 8—10.



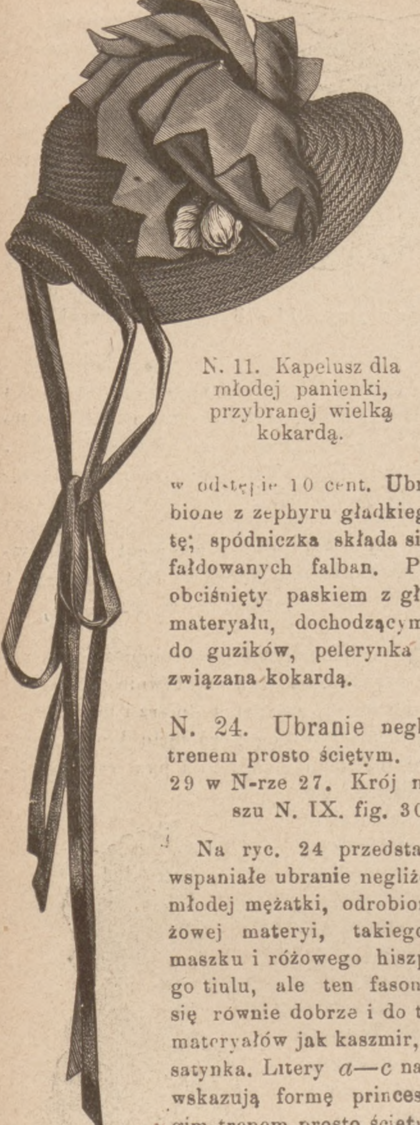
N. 9. Fartuszek z karczkiem dla dziewczynki. Patrz r. 10. Krój na arkuszu N. V, fig. 19—22.



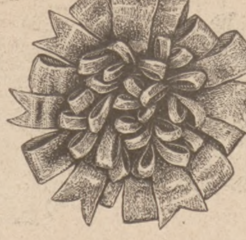
N. 4. Szlak do kołdry, robiony na drutach. Patrz ryc. 3.



N. 10. Fartuszek z karczkiem. Patrz ryc. 9.



N. 11. Kapelusz dla młodej panienki, przybranej wielką kokardą.



N. 12. Rozeta z aksamitki.

N. 22—23. Ubranie dla dziewczynki lat 4—6.

N. 22. Sukieneczka biała batystowa.

Krając przody i plecy bluzki naddaje się materyału na marszczenie dane sześć razy na około szyi a na długość na bufę opuszczającą się na spódniczkę. U dołu spódniczki dane dwie falbanki haftowane; takiż haft zakończa króciutkie marszczone rękawki. Bardzo szeroka kolorowa jedwabna szarfa jest na środku z przodu zmarszczona a z tyłu związana w kokardę.

N. 23 Sukienka z pelerynką. Krój jak do ryc. 32.

Krając paletocikowy stanik podług powyżej wskazanej formy, trzeba naddać materyału na zakładki, których daje się sześć wzdłuż pleców, a po cztery w każdej połowie przodów, środkiem zapiętych na dwa rzędy guzików, w odstępie 10 cent. Ubranie to odrobione z zephyru gładkiego i w kratę; spódniczka składa się z dwóch fałdowanych falban. Paletocik obciśnięty paskiem z gładkiego materyału, dochodzącym tylko do guzików, pelerynka gładka związana kokardą.

N. 24. Ubranie negliżowe z trenem prosto ściętym. Patrz r. 29 w N-rze 27. Krój na arkuszu N. IX. fig. 30.

Na ryc. 24 przedstawiliśmy wspaniałe ubranie negliżowe dla młodej mężatki, odrobione z różowej materyi, takiegoż adamaszku i różowego hiszpańskiego tiulu, ale ten fason nadaje się równie dobrze i do tańszych materyałów jak kaszmir, batyst, satynka. Litery *a—c* na fig. 30 wskazują formę princesse z długim trenem prosto ściętym u dołu, litera *d* oznacza drugie z wierzchu dodane przody á panier, sfałdowane z boków i złączone z tyłu pod karoczkiem. Składa się ono z kawałka koronkowego tiulu 70 cent. długiego a 40 szerokiego, upiętego w dwa pukle przedzielone sutem upięciem z atłasowej wstążki. Koronka hiszpańska 5 c. szeroka zdobi przód dany z gładkiej materyi, otacza panier i garniruje tren sukni, naszyty plisowanemi falbankami. Prosty brzeg tylny trenn zakończony falbaną atłasową układaną w kontrafałdy, podszytą koronką.



N. 17. Ubranie marynarskie dla chłopczyka. N. 18. Sukieneczka wycięta dla dziewczynki.

N. 26. Suknia z długą fartuszkową tuniką.

Odrobiona z białego wełnianego materyału voile religieuse, ozdobiona jest haftem kolorowym danym wprost na materyale; szarfa, kołnierz pelerynowy i mankiety są z niebieskiego aksamitu. Na spódnicy dane dwie plisowane falbany, po 25 cent. szerokie. Tunika fartuszkowa z przodu 150 cent. długa, ozdobiona szlakiem 42 c. szerokim, z boków zebrana w fałdy do 37 cent. długości. Tylny bryt u dołu przyszyty szwem odwracanym jest 110 cent. szeroki, a 180 długi; w górze upięty na nim trójkątny kawałek 50 c. szeroki a 55 długi z brzegów skośnych, z jednej strony oszyty haftem i sfałdowany do 25 cent., z drugiej podpięty w bufę 5 cent. głęboką. Kołnierz pelerynowy oszyty haftem 5 cent. szerokim liczy z przodu 13, z tyłu 16 cent. długości.

N. 29—30. Teka na chusteczki batystowe. Haft Richelieu.

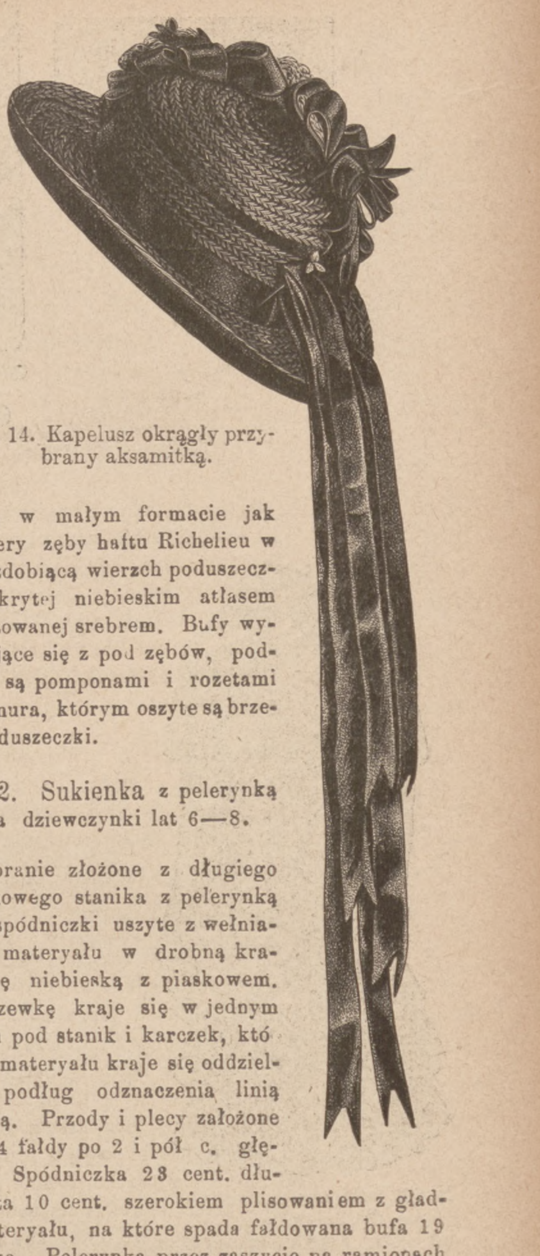
Potrzeba na nią dwóch kawałków tektury po 30 cent. długich, 20 szerokich, pokrytych warstwą pachnącej waty i powleczonych różowym pluszem. Zwierzchnia połowa teki pokryta jest różowym atłasem odstającym w bufy między zębami z haftu Richelieu na kremowym batyście. Jeden brzeg teki złączony jest stale wstążką atłasową, a wszystkie brzegi oszyte sznurem sznelowym, założonym na rogach w pentelki, między któremi przytwierdzone duże ponsowe jedwabne pompony. Rycina 29 przedstawia w naturalnej wielkości dwa zęby z haftem Richelieu, w którym efektownie odznaczają się kontury otoczone sznureczkiem złotym, przedzierganym rzadkiemi ściegami ponsowym jedwabiem. Puste tło między deseniem zapełniają nitki ściśle odziergane, ozdobione pikotami. Zęby łączone są małemi pomponami.



N. 15. Kapotka fantazyjna, przybrana szyszkami olszowemi. N. 16. Kapelusz okrągły, opasany pletnią złotą.



N. 13. Rozeta ze wstążki.



N. 14. Kapelusz okrągły przybrany aksamitką.

N. 31. Poduszeczka na toaletę. Z haftem Richelieu.

Fig. 73 na arkuszu z krojami wskazuje w małym formacie jak złączyć cztery zęby haftu Richelieu w gwiazdę zdobiącą wierzch poduszeczki pokrytej niebieskim atłasem i haftowanej srebrem. Bufy wysuwające się z pod zębów, podpięte są pomponami i rozetami ze sznura, którym oszyte są brzegi poduszeczki.

N. 32. Sukienka z pelerynką dla dziewczynki lat 6—8.

Ubranie złożone z długiego bluzkowego stanika z pelerynką i ze spódniczki uszyte z wełnianego materyału w drobną krateczkę niebieską z piaskowem. Podszewkę kraje się w jednym ciągu pod stanik i karczek, który z materyału kraje się oddzielnie podług odznaczenia linią prostą. Przody i plecy założone są w 4 fałdy po 2 i pół c. głębokie. Spódniczka 23 cent. długa, oszyta 10 cent. szerokiem plisowaniem z gładkiego materyału, na które spada fałdowana bufa 19 cent. szeroka. Pelerynka przez zaszycie na ramionach leży gładko, dolny brzeg ma wycięty w patki 6 cent. długie. Wykłady na rękawach przecinane w patki.



N. 19 Bluza dla dziewczynki. N. 20. Sukienka z vêtement dla dziewczynki lat 6—8.

N. 36—40. Ręczniki kąpielowe.

Ręcznik z grubego materyału jaki przedstawia r. 36 ozdobiony jest szlakiem wyszytym na kanwie jawa; na zszyciu kanwy z tłem dany szlaczek podług ryc. 38. Fig. 72 na arkuszu z krojami daje deseń szlaku 17 cent. szerokiego, wyszytego grubą szafirową włóczką. Brzegi ręcznika zakończa frendzla wiązana z nitek wysiepanej kanwy, podług ryc. 39. Drugi ręcznik ryc. 37 jest z materyału szorstkiego w deseń ponsowy z białem i liczy 67 cent. szerokości a 118 długości; przy brzegach poprzecznych przerabiane są szlaki białe, 4 c. szerokie, ozdobione wyszyciem sznureczkowem. Frędzlę białą wiąże się nitkami ponsowemi podług ryc. 40.



N. 21. Suknia ze stanikiem z baskiną. Wskazanie kroju na arkuszu N. XIX. fig. 67.



N. 22. Sukienka biała batystowa dla dziewczynki lat 4—6.



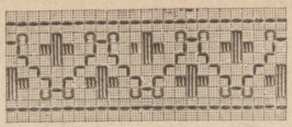
N. 24. Ubranie negliżowe z trenem prosto ściętym. Patrz r. 29 w N. 27. Krój na arkuszu N. IX. fig. 30. N. 25. Ubranie spacerowe. Patrz ryc. 2 w N-rze 27.



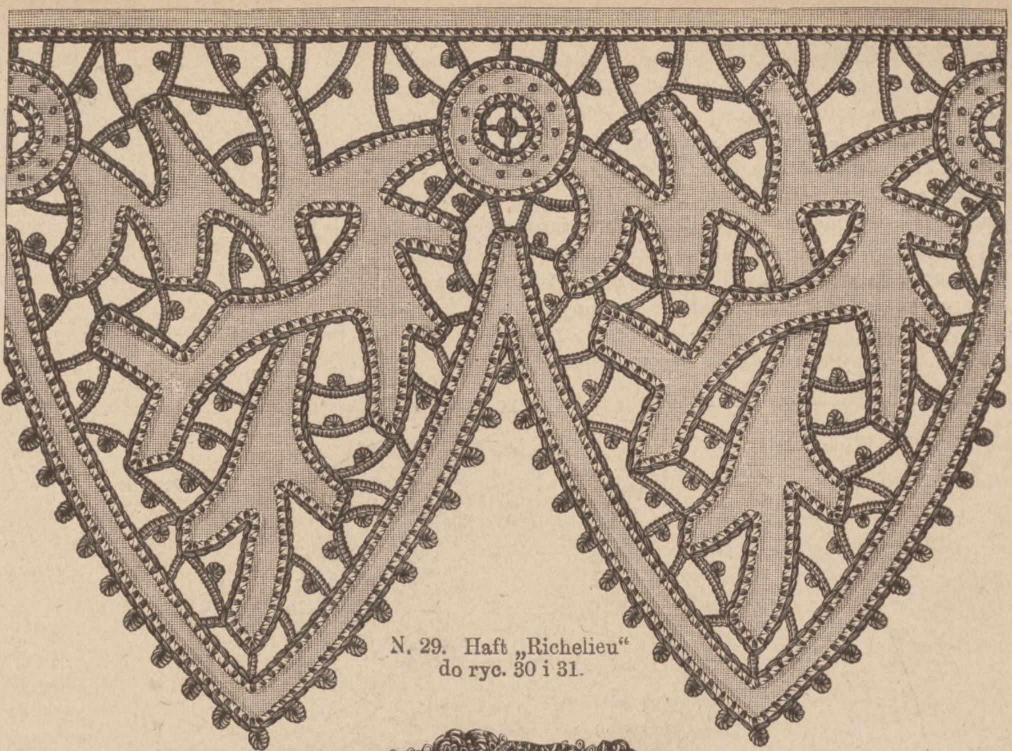
N. 23. Ubranie z pelerynką dla dziewczynki lat 4—6.



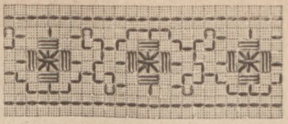
N. 26. Suknia z długą fartuszkową tuniką.



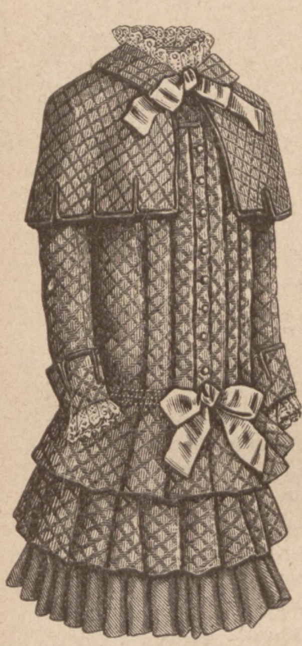
N. 27. Szlaczek.



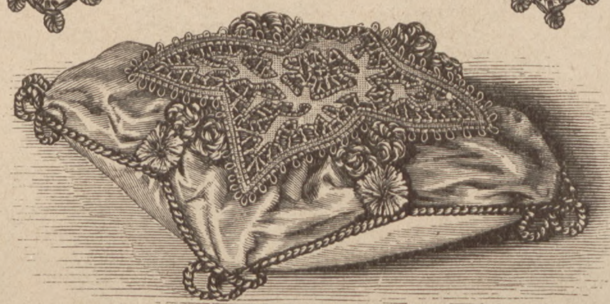
N. 29. Haft „Richelieu“ do ryc. 30 i 31.



N. 28. Szlaczek.



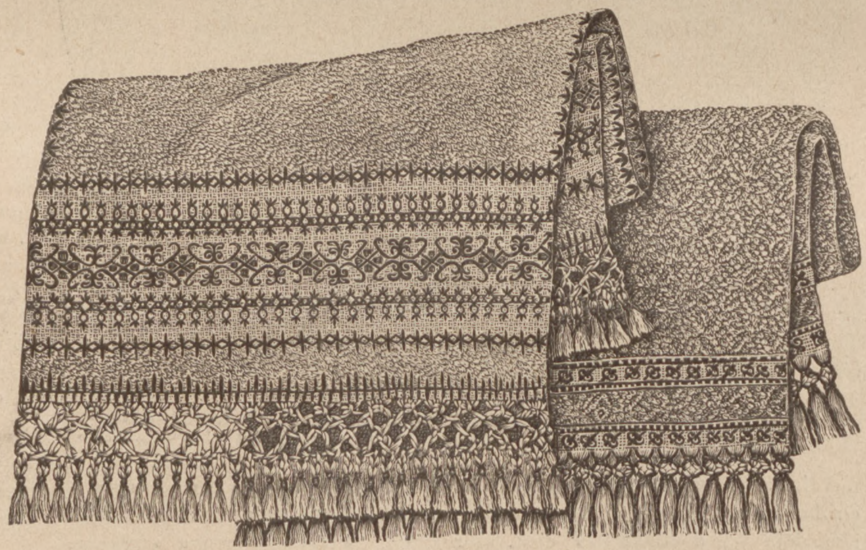
N. 32. Sukienka z peleryn-ką, dla dziewczynki lat 6—8. Krój na arkuszu Nr. IV, fig. 14—18.



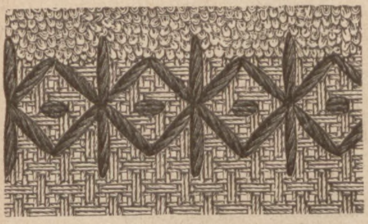
N. 31. Poduszeczka na toaletę. Patrz ryc. 29.



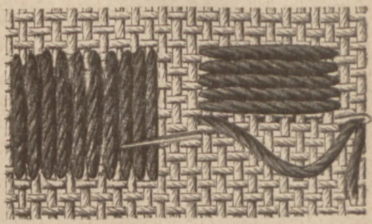
N. 33. Ubranie dla panienki lat 9—11. Patrz ryc. 7.



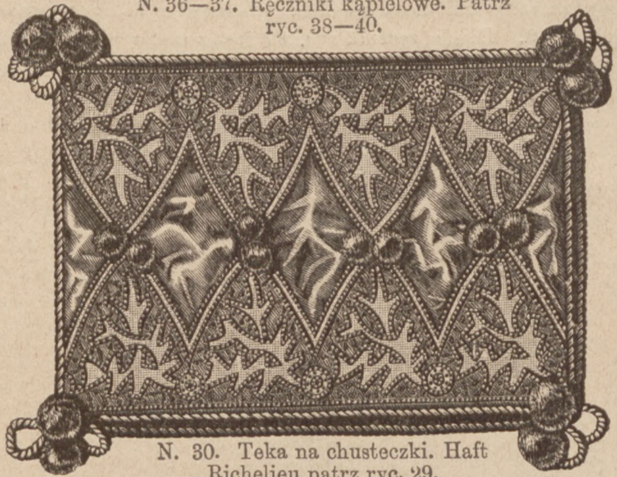
N. 36—37. Ręczniki kąpielowe. Patrz ryc. 38—40.



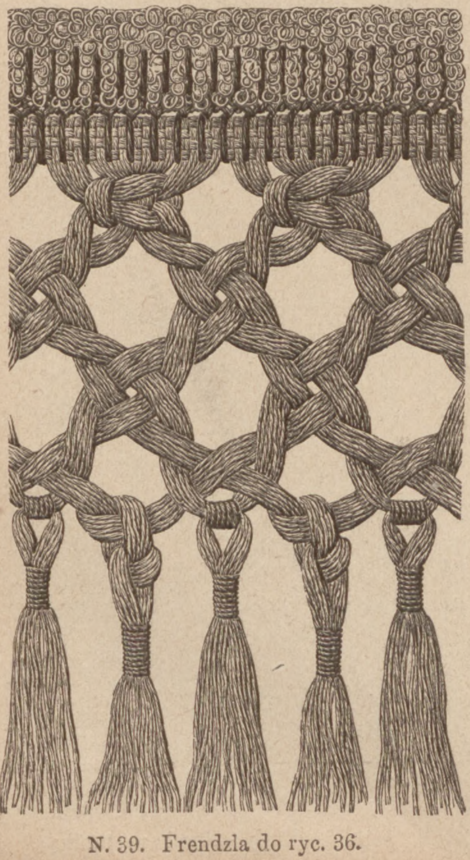
N. 38. Szlaczek do ryc. 36.



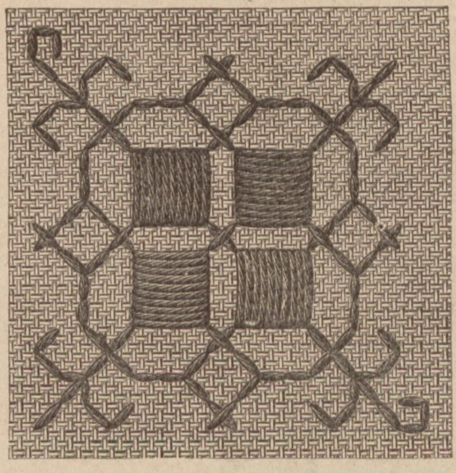
N. 35. Wyszycie ściegu gobelinowego jednakowego na obie strony. Do r. 34



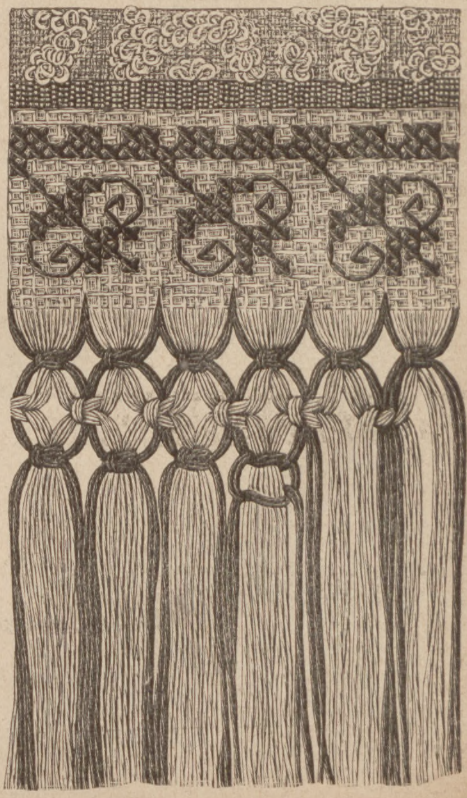
N. 30. Teka na chusteczki. Haft Richelieu patrz ryc. 29.



N. 39. Frendzla do ryc. 36.



N. 34. Wyszycie do ryc. 24 w N-rze 27.



N. 40. Frendzla do ryc. 37.



Pl. 543.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.